Nr 47 (1557). Warszawa, 19 listopada 1910 r. **Rok XXX**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 78-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

O honor narodu.

W toku obrad nad projektem rządowym nauczania początkowego z ust polskich przedstawicieli w Dumie padł niejeden szczery, donośny, głęboko odczuty wyraz protestu, gniewu, oburzenia, budząc na lewicy gromkie aplauzy, a na ławach nacjonalistów — okrzyki nienawistne... Bezczelny, zimno przygotowany zamach na duszę Narodu, systemem deprawacji umysłów dziecięcych, zdemaskowano na trybunie dumskiej, wytknięto w całej ohydzie, stawiono przed forum publiczne na pokaz ogólny — i trzeba zupełnej atrofji myśli i uczuć ludzkich, atrofji, właściwej rosyjskim adeptom „egoizmu narodowego", aby przejść obojętnie mimo tej tragicznej wizji dręczonych w obcej szkole pokoleń...

„My, Polacy z Królestwa Polskiego—mówił poseł Jabłonowski — uznajemy ten projekt prawodawczy za najzłośliwszą prowokację w stosunku do narodu naszego, prowokację, która rozpoczyna się z zarania wieku dzieci naszych. Staje ona przy ich kołysce niby widmo potworne, chciwe na ich młode, wątłe jeszcze siły, łamie ich wolę, nie pozwala rozwinąć się ich zdolnościom przyrodzonym, kazi i wypacza ich moralność i charakter. Taki projekt prawodawczy dźwiga, panowie, nie pokój, lecz miecz. Dlatego twierdzę, że szkoła ta, o ile wprowadzona będzie w życie, zniewoli nas jedynie do wytężenia wszystkich sił naszych, ażeby zrzucić z siebie ten martwy balast nauki rządowej, ażeby usunąć z organizmu naszego, pragnącego żyć i rozwijać się, całą tę truciznę, którą zdradziecko podają nam ręce prawodawców, zdolnych jedynie do coraz silniejszego zaciągania węzła, zarzuconego siłą złego losu na szyję narodowości naszej".

Mocne te, palące słowa podkreśliła lewica rosyjska salwą oklasków. Tak jest! Przed narodem polskim dźwignięto mur uprzedzeń, ograniczeń, represji i na tym murze wsteczny nacjonalizm rosyjski wypisał dantejskie hasło:—Żadnych nadziei—żadnych złudzeń!—A wobec tego powinniśmy wszyscy Polacy silniej niż kiedykolwiek stwierdzić i udowodnić, że teraźniejszość nas nie złamie, że przetrwamy i ten paroksyzm obłędnego ucisku, jak przetrwaliśmy już gorsze chwile, a jednocześnie rachuby nasze i nadzieje na lepszą przyszłość skupić i utrwalić zaciśnieniem węzłów porozumienia z lewicą rosyjską demokratyczną i postępową.

Niema i nie może być innej dla nas metody. Musimy tędy zmierzać do celu, z tej drogi wszystkie przeszkody usuwać i mieć ją ustawicznie na oku; nakazuje nam to nasz interes i honor narodowy tego wymaga.

* * *

A są na drodze tej szkopuły, są trudności i to niemałe. Nieraz je wskazywaliśmy; dziś mocniej niż kiedykolwiek dały się nam one we znaki.

Przez ciąg dyskusji szkolnej zawisła nad nami *sprawa żulińska*, jak zmora. Ta zmora tłukła się po szpaltach naszych gazet, ta zmora stała na prezydjum w Izbie, gdy nasi posłowie przemawiali, a ławy prawicy brzmiały złośliwym echem, na wszelkie wywody, na wszelkie perswazje posłów polskich odpowiadając jednym słowem: Żulin!

Nie dawał nam spokoju ten obraz, wyjaskrawiony do mitycznych rozmiarów, obraz rusińskiego dziecka, rzekomo bitego po głowie i zabitego przez nauczyciela Polaka gdzieś w galicyjskiej wiosce. Każde czujące polskie serce na myśl o tym ścisnąć musiało się zgrozą. Czuliśmy, że to niemożliwe, że tu jakiś fałsz być musi—czuliśmy, mimo wszystkie przykre niespodzianki, ja-

kich nam gospodarka endecka w Galicji nie szczędzi — że niepodobna, aby na stanowisku tak odpowiedzialnym znalazł się Polak-pedagog, coby recepty pana Dmowskiego stosował tak ślepo, tak bezmyślnie i tak — nie w porę.

Czekaliśmy na dowody. Czekaliśmy z niecierpliwością, z utęsknieniem. Cóż, kiedy galicyjscy biurokraci lubują się w majestacie powolnych gestów...

Wreszcie nadeszły.. — *via* Wiedeń, w postaci urzędowego komunikatu, który stwierdza, że „wyniki śledztwa władz szkolnych w Żulinie wykluczają motywy narodowe lub wyznaniowe" i że nadto „w szkołach żulińskich nauka odbywa się w języku rusińskim i dzieci odmawiają modlitwy stale w języku rusińskim".

Mimo to uznano za potrzebne wdrożyć dochodzenie śledcze przeciw nauczycielowi Greissowi i ostateczne wyniki śledztwa ujawnią dopiero istotę całej tej sprawy, nad wszelki wyraz bolesnej. Zapytujemy tylko: czemu posłano nauczyciela - Polaka do wsi, gdzie jest 90% Rusinów i gdzie nauka odbywa się po rusińsku? Jeśli my tu niechcemy rusyfikatorów w sali szkolnej, to pamiętać musimy o zapowiedzi: nie czyń drugiemu, co tobie niemiło. T. zw. narodowa „demokracja" mimo szacunku dla wiary św., którym lubi się szczycić, łamie, jak widać, chętnie zapowiedź biblijną na rzecz nowej zupełnie „ewangielji", której autorem jest Bismark, a plagiator wśród nas przebywa... Ale opinia niezależna żąda obecnie nagląco, żąda usilnie, aby nasz honor narodowy i wymogi sprawy polskiej stawiano ponad metody stronnicze, ze szkodą bodaj sławetnej doktryny „egoizmu narodowego", którą należy zwać raczej doktryną niebezpiecznych dla narodu niespodzianek... I niechaj na przyszłość oszczędzi nam p. Dmowski podobnych galicyjskich dywersji.

* * *

Drugi punkt ciemny na tle dyskusji szkolnej, drugi szkopuł, który sprawie polskiej zagraża — to kwestja ograniczenia żydów w samorządzie. Wypowiedzieliśmy się w tej materji; jesteśmy za równemi dla wszystkich prawami i przeciw ograniczeniom. Podobnie wypowiedzieli się „realiści", podobnie myślą też niektórzy posłowie, jak Wł. Grabski, rozpatrujący tę sprawę w perspektywie naszych zadań politycznych, jeśli już pominąć zasadnicze względy. Ale sztab główny „demokracji" narodowej trwa w zaciekłym uporze, zaś *Gazeta Warszawska* udzieliła niedawno Kadetom surowej admonicji za potępienie metody ograniczeń, nazwała ich „arogantami" i zagroziła „rewizją stosunku lewicy rosyjskiej do sprawy polskiej", co wywołać musiało popłoch paniczny w obozie *Rieczi*...

Jeśli Koło Polskie pójdzie za podszeptem tych nadętych, śmiesznych a szkodliwych megalomanów, którym się wydaje, że stoją na czele mocarstwa conajmniej pierwszego rzędu — obawiać się należy, że zapowiedziana „rewizja" narazi nas na nową serję kompromitacji i klęsk.

Lewica rosyjska była zawsze i jest dotąd naturalnym i jedynym naszym sprzymierzeńcem, mimo, że narodowa demokracja zrobiła wszystko, co mogła, by jej tę rolę obmierzić.

Przemowy posłów naszych tylko tam, wśród Rodziczewów, Hessenów, Milukowów, znajdują zrozumienie, posłuch i aplauz — i doprawdy śmieszną, drażniącą jest *Gazeta Warszawska*, gdy notuje „oklaski lewicy" na tej samej szpalcie, która grozi „rewizją" i wymyśla od „arogantów" przyjaciołom sprawy polskiej... Zapewne, postęp rosyjski nie ma dziś władzy, nic nam dać nie może prócz moralnego poparcia... Lecz przyszłoby nam chyba wyrzec się wszelkiej nadziei, głowy posypać popiołem i szaty podrzeć na sobie, gdyby dzisiejszy stan rzeczy miał trwać wiecznie... Chyba że obóz nacjonalistyczny lekceważy sobie tę przyszłość i, oczarowany syrenim głosem październikowców, zamyka oczy na *istotną, dotykalną arogancję* dzisiejszej większości rządowej, której stosunek do sprawy polskiej ulega coraz — *rewizji* w określonym kierunku. Wszystkiego spodziewać się można po naszych nacjonalistach, prócz politycznego taktu i rozumu.

* * *

Rozum i takt polityczny wskazuje nam wyraźną i prostą linję działania. Jak ognia unikać musimy tych metod, które dotkliwie sami odczuwamy. Sprawa żulińska, na szczęście, honoru naszego nie plami, bo w świetle prawdy znika całe tło potworności, nizane haftami kłamstwa i niewybrednej demagogji; tym nie mniej zajście to ujawnia jaskrawo i dobitnie grozę niebezpieczeństw, jakie wywiązać się mogą lada chwila z tej nieszczęsnej waśni galicyjskiej, jątrzonej na wszelki sposób...

Sprawa żydów w samorządzie, gdyby po myśli endeków wypadła, postawiłaby nas w smutnym, fałszywym świetle wobec tej opinji rosyjskiej, która kiedyś będzie miarodajną.

Kładziemy stosowny nacisk na rodzaj i rozmiary tego niebezpieczeństwa. Opinja polska nie powinna ani na jedną chwilę dać się zwieść pozorami doraźnej korzyści w dziedzinie gospodarki miejskiej, gdy może to na szwank narazić wielkie dzieło *narodowej naszej emancypancji*... Bo jeśli — mówiąc słowami Jabłonowskiego — „zły los węzeł na szyi narodu naszego zaciąga" — to trzeba, koniecznie trzeba, byśmy mieli ręce czyste i wolne od podobnej funkcji w stosunku do słabszych od siebie... a nadto, nie należy nam lekceważyć tych „przyjaciół-Moskali", którzy i nas i siebie pospołu uwolnić chcą od fatalnego węzła.

U steru.

Wieloplemienna i wielomiljonowa ludność państwa rosyjskiego, oczekująca z upragnieniem reform zasadniczych, śledzi uważnie, co się dzieje u steru i chwyta chciwie wiadomości o wszelkich zmianach, które ukazują zdaleka chociaż zwodnicze światełka nadziei reform, pomimo, że zmiana osób, to nie zmiana systemów, kursów odwiecznych. Tym razem nastąpiły właśnie tylko takie zmiany osób: przeszły teki ministerjalne z rąk do rąk i prócz tego zapowiedziano jeszcze jedną reformę administracyjną: nowe ministerjum rolnictwa. Zmiana ministra spraw zagranicznych nie zrobiła wielkiego wrażenia. Natomiast ustąpienie ministra oświaty znaczna większość ludności państwa niewątpliwie powitała z niekłamaną radością; pomimo, że następca Szwartza, p. Kaso, jest

jednostką dla ogółu nieznaną; a skoro jest nieznaną, nie może być wybitną i samodzielną, nie może być genjuszem reformatorskim w duchu odrodzenia zgnębionego, zmaltretowanego szkolnictwa. Pomimo to ludność się cieszy, bo liczy na to, że chociaż nie nastąpią reformy zasadnicze, nie przyjdzie owo odrodzenie, ale w każdym razie sprawy oświatowe, na gruncie niezachwianego systemu, może będą traktowane inaczej. Wszakże i więźniowie się cieszą, gdy ustępuje surowy dozorca, pomimo, że nie wiedzą, jakim będzie jego następca, Te same systemy i regulaminy można stosować mniej lub więcej surowo. Otóż być więcej surowym, niż był Szwartz, — niepodobna. Stąd płynie ta pociecha, że nawet jeżeli p. Kaso zechce iść wytkniętymi przez poprzednika drogami, to niewątpliwie będzie mniej bezwzględnym w traktowaniu oświaty.

Zarówno prasa rosyjska, jak wszelkiego rodzaju działacze z różnych obozów usiłują zbadać zamiary i przekonania nowego ministra, a może nawet pragną przeniknąć jego charakter i próbować oddziaływania. Tak przynajmniej można przypuszczać z wizyty Puryszkiewicza, złożonej nowemu ministrowi i z prośby jego o przyjęcie i wysłuchanie deputacji studentów ze związku prawdziwych Rosjan. P. Kasso jednak odmówił przyjęcia deputacji, co świadczy, że nie życzy sobie żadnych inspiracji. Z wywiadów zaś przedstawicieli prasy i z sylwetek ministra, skreślonych przez tych, którzy go bliżej znali na innych stanowiskach, można wywnioskować, że nowy minister nie jest zwolennikiem tych metod, do jakich się uciekał p. Szwartz w traktowaniu młodzieży uniwersyteckiej; nie jest wrogiem autonomji. To już wiele, jak na te ciężkie i... ciemne czasy. Ale nowy minister otrzymał jeszcze w spuściźnie po swym poprzedniku ogrom okólników, pokrywających grubą warstwą wszelkie prawa. Otrzymał ustawę szkoły ludowej w duchu policyjnym, ograniczenia procentowe, pułki ucieszne, dozór policyjny nad moralnością młodzieży szkolnej, olbrzymie stosy „wilczych biletów" dla tych, którzy, chociażby przypadkowo lub przez nieporozumienie, zajrzą do kozy, albo będą mieli u siebie gości — rewidentów. Pozostają specjalne przepisy dla „inorodców" i niezliczona moc ograniczeń wszelakich. Co z tym wszystkim zrobi nowy minister, trudno przewidzieć. W każdym jednak razie można przypuszczać, że będzie miał na kilka lat ciężkiej pracy, zanim się rozejrzy w tym niezmiernie bogatym materjale.

W zasadzie doniosłe ma znaczenie zapowiedziane stworzenie ministerjum rolnictwa. Od wielu już lat projekt tułał się w sferach biurokratycznych i zapadał w „głębokie szuflady". Obecnie znowu wszedł na porządek dzienny i ma już wszelkie pozory zbliżającego się urzeczywistnienia. Już od wczesnej wiosny od czasu do czasu na widnokręgu wyższej administracji ukazywały się oznaki powstającego z mgieł projektu. Dn. 11-go października Rada ministrów rozważyła i przekazała do zakwalifikowania prawodawczego projekt sekretarza stanu Kriwoszeina przekształcenia głównego zarządu rolnictwa i urządzeń rolnych na ministerjum rolnictwa. Ma ono ogarniać rozległe dziedziny: gospodarstwo rolne i związane z nim gałęzie pracy ludności wiejskiej — urządzenia rolne oraz zarząd dobrami skarbowymi. Do obowiązków nowego ministerjum między innymi należeć będzie i zarządzenie środków, mających na celu udoskonalenie i postęp rolnictwa we wszystkich jego gałęziach oraz w dziedzinach pokrewnych. Opieka nad rolniczymi zakładami naukowymi, zarząd instytucjami kredytu rolnego; współdziałanie w rozwoju przemysłu rolnego, rozszerzeniu i zwiększeniu produkcyjności pracy ludu w zakresie przemysłu drobnego, jak również współdziałanie w ułatwieniu zbytu przedmiotów produkcji rolnej. Urządzenie rolne ludności wiejskiej drogą naprawy warunków posiadania ziemi i korzystania z niej. Dopomaganie ludności wiejskiej w nabywaniu ziemi z dóbr skarbowych oraz prywatnych. Kierowanie sprawami emigracji oraz ułatwianie kolonizacji na miejscu osiedlenia. Udział w sprawach urządzenia rolnego posiadaczy ziemskich w Rosji europejskiej, oraz w „urządzeniu" włościan i inorodców na gruntach skarbowych w Rosji azjatyckiej. Opieka nad przemysłem rybnym i zwierzostanem, zarządzanie działem weterynaryjnym i t. d.

Główną podstawą organizacji nowego ministerjum będzie: wyodrębnienie wszelkich instytucji rolnych, stosowne ich ugrupowanie, nadanie im niezbędnej samodzielności oraz wzmożenie tych wszystkich środków działania, które ułatwiłyby podniesienie i rozwój rolnictwa. Oddanie możliwie największej ilości spraw do ostatecznego załatwienia i rozstrzygnięcia instytucjom lokalnym z zastrzeżeniem kierunku zwierzchniego dla instytucji centralnej. Głównie zaś nowemu ministerjum będzie chodziło o przyciągnięcie sił społecznych do pracy oraz o współpracownictwo organów ziemskich i towarzystw rolniczych.

Jest to zarys ogólny i zanadto pobieżny. Dziedzina rolnictwa w państwie rosyjskim jest tak rozległa i różnorodna, że nowe ministerjum, o ile istotnie mogłoby się stać organem centralnym, wnikającym w całą głębię tych potrzeb różnorodnych i w wielu wypadkach nawet sprzecznych ze sobą, byłoby jednym z największych i najważniejszych organów sterniczych. Ale do tego brak jeszcze bardzo wielu warunków. Przedewszystkim sam projekt, opracowany własnymi siłami na podstawie materjałów kancelaryjnych przez jednostkę biurokratyczną, jest zanadto szablonowy i — typowo biurokratyczny. Do samej pracy należałoby powołać setki rzeczoznawców z różnych dziedzin gospodarki rolnej, przemysłu i handlu rolnego. Wszakże już dawniej pracę tego rodzaju lepiej i szerzej rozumiano, i to wtedy, kiedy nawet nie było jeszcze nikłych przebłysków „wiosny" konstytucyjnej. Mianowicie w kwietniu r. 1902 zwołano w Petersburgu specjalną Radę rolniczą, celem rozważenia programu spraw, które dały bardzo obfity materjał do obrad w lokalnych komitetach rolniczych. W pracy tej wzięli udział profesorowie nauk ekonomicznych, oraz specjaliści w różnych gałęziach rolnictwa i znawcy jego potrzeb. Większą część punktów tego programu rozesłano do miejscowych komitetów gubernjalnych i powiatowych, przy czym uważano za właściwe powierzyć uznaniu owych organów te tylko sprawy, które ściśle się wiążą z potrzebami danej okolicy. Główne punkty owego programu ogarniają o wiele więcej spraw, niżeli program p. Krywoszeina i o wiele szczegółowiej niż on oceniają doniosłość współpracownictwa sił społecznych. Wprawdzie w owym programie niema wcale opieki nad dobrami duchownych zagranicznych w Besarabji, ale za to jest mowa o współdziałaniu w zakładaniu i rozwoju kooperatyw rolnych. Program ten, niestety, nie doczekał się urzeczywistnienia w takich granicach, w jakich go nakreślono, praca uczonych i specjalistów-praktyków nie weszła w życie, ale pozostał bogaty materjał, pozostała metoda, z czego nowe ministerjum mogłoby skorzystać, gdyby swojej pracy i swego programu nie oparło na metodzie kancelaryjnej.

Wątpić należy, czy tak doniosła sprawa, jak stworzenie nowego ministerjum, ogarniającego pierwszorzędną i rozległą dziedzinę gospodarki, będzie załatwiona drogą kancelaryjno-administracyjną. Projekt ten, przynajmniej dla pozoru, musi przejść przez ciała prawodawcze, przez Dumę i Radę państwa. W Dumie oczywiście projekt p. Krywoszeina musi podledz szczegółowej ocenie ze stanowiska potrzeb wszystkich dzielnic państwa i wszystkich warstw ludności pracującej bezpośrednio lub pośrednio na roli i w rolnictwie, a wtedy, nawet w Dumie reakcyjnej, projekt ten zmieni się lub rozciągnie znacznie. Czy

jednak nawet po przekształceniu go w takiej Dumie odpowie on w całości potrzebom istotnym? Czy uwzględni wogóle potrzeby wszystkich warstw ludności wiejskiej? Czy nowe ministerjum stanie się rzeczywiście tym organem, który wniknie w głębię życia i *ułatwiać* je będzie? Dzieje instytucji państwowych, oraz prawodawstwa rosyjskiego nasuwają nam odpowiedź pesymistyczną na te pytania. O ile projekt nowego ministerjum po rozwinięciu uzyska sankcję prawodawczą Dumy i Rady państwa — stanie się organem, uwzględniającym przedewszystkim potrzeby możnych. W projekcie p. Krywoszeina nie znaleźliśmy najmniejszej wzmianki o uregulowaniu spraw bytu i potrzeb olbrzymich rzesz robotniczych, pracujących w rolnictwie. Jest głucho powiedziane o opiece nad szkolnictwem specjalnym a niema wcale mowy o szkołach rolniczych niższych i średnich, które przedewszystkim nakazaliby stworzyć. Słowem — nowe ministerjum w takiej formie i w takich warunkach da tylko nowe placówki dla wyższej biurokracji, stanie się organem, tworzącym nowe ugrupowanie istniejących dotąd wydziałów z rozszerzeniem tylko etatów, pomnożeniem posad zarówno w instytucji centralnej, jak i jej organach lokalnych.

Zen. Pietkiewicz.

Związki zawodowe we Francji.

Do połowy ubiegłego stulecia związki zawodowe istniały we Francji potajemnie, kryjąc się pod nazwą towarzystw wzajemnej pomocy, co zresztą nie zawsze chroniło je od prześladowań i zagłady.

Dopiero rok 1848-my przyniósł pod tym względem zmianę. Druga Republika nietylko nie zabrania zrzeszeń, lecz wprost je poleca. „Rząd tymczasowy uznaje, że robotnicy powinni zrzeszać się pomiędzy sobą, aby korzystać z owoców swojej pracy". Tak brzmi urzędowa deklaracja ówczesna. W 1848-ym r. Francja przechodzi okres żywiołowego i chaotycznego ruchu robotniczego, podobny do tego jaki Angja przechodziła w latach trzydziestych. Dwie myśli zasadnicze owładają umysłami. Louis Blanc i jego zwolennicy pragną, aby państwo przyszło z pomocą zrzeszeniom robotniczym, aby je powoływało do życia i podtrzymywało. Fourrier zaś i Proudhon pokładają swoje nadzieje w samych tych zrzeszeniach, w samorzutnej inicjatywie społeczeństwa, bez pomocy państwa. Ideja Blanc'a zostaje urzeczywistniona w postaci kredytu udzielonego robotniczym kooperatywom wytwórczym. Niezależnie od tego powstają różne towarzystwa wzajemnej pomocy, towarzystwa obronne, braterskie i inne. Wszystkie one stawiają sobie niezmiernie szerokie zadania, są polityczne, ekonomiczne, filozoficzne — jednocześnie. Niektóre z nich obejmują robotników jednego zawodu, robią strejki, wprowadzają umowy zbiorowe z pracodawcami, słowem postępują, jak współczesne związki zawodowe. Jednak, na ogół biorąc, związek zawodowy jest uważany za stopień przejściowy i bynajmniej nie niezbędny od kooperatywy wytwórczej, która dzięki kredytowi państwowemu ma przetworzyć współczesny ustrój ekonomiczny.

Jak wiadomo, wielkie nadzieje, jakie pokładano w 43-ym roku, na kooperatywie wytwórczej, spełzły na niczym. Złożyło się na to, w równej mierze nieprzygotowanie handlowo-techniczne samych robotników, jak i represje ze strony nadchodzącej reakcji. Jednak ku końcowi panowania Napoleona III-go reakcja staje się łagodniejszą. Prawo z r. 1864-go pozwala na „koalicje", t. j. na strejki, które w Anglji są już ulegalizowane od r. 1824-go. Związki zawodowe, w współczesnym znaczeniu tego wyrazu, rozwijają się, choć jeszcze skrywają pod rozmaitemi nazwami. Przemysł francuski przechodzi okres ograniczonego rozkwitu i fabrykantom chodzi przedewszystkim o niezakłócanie spokojnej pracy, wobec czego robotnicy uzyskują wiele korzyści ze względnie niewielkim wysiłkiem.

Wojna franko-pruska, Komuna i utworzenie Trzeciej Republiki, która przeszła większością jednego głosu i była początkowo Republiką bez republikanów — zmieniły postać rzeczy. Początkowo związki zawodowe wiodą znów żywot nielegalny i dopiero z dojściem do władzy radykałów — za ministerstwa Waldeck-Rousseaau — przechodzi w r. 1884-ym prawo, dające swobodę wszelkiego rodzaju stowarzyszeniom, a więc i związkom zawodowym.

Rok 1884-ty jest więc początkową datą współczesnego okresu w rozwoju francuskich związków zawodowych. Początkowe prawo z 1884-go r. zostaje źle przyjęte i przez fabrykantów, którzy obawiają się wzmożenia ruchu robotniczego i przez robotników, którzy uważają je za sidła, zastawione przez rząd. Kongres narodowy syndykatów z r. 1886-go odrzuca większością 79-ciu głosów przeciwko 29-ciu legalizację związków. Niebawem jednak robotnicy zmieniają zdanie i w r. 1900-ym legalizuje się syndykat metalurgiczny, który dotąd najgwałtowniej zwalczał legalizację. Jest to szczegół godny zapamiętania, gdyż taką samą niechęć na początku znajdujemy prawie zawsze we wszystkich reformach robotniczych; dopiero później są one należycie oceniane i wyzyskiwane. Na razie wydaje się robotnikom, że padają ofiarą, jakiegoś oszustwa, a w tym przeświadczeniu zawsze podtrzymują ich anarchiści i ordoksyjni marksiści, którzy wskutek swojej demagogji i ciągłego licytowania w górę stają się potężnym czynnikiem zastoju społecznego.

Wzrost francuskiego ruchu syndykalnego od r. 1884-go jest olbrzymi. W r. 1881-ym było 500 syndykatów i liczyły one koło 60,000 członków. Na 1-y stycznia 1908-go r, Bulletin de l'Office du Trawail podaje następujące cyfry:

Syndykatów patronalnych (t. j. złożonych z samych pracodawców) było 4199, liczyły one 340,139 członków (w czem 96,139 kobiet).

Syndykatów robotniczych było 5,354, liczyły 944,761 członków (w czem 82470 kobiet). Syndykatów mieszanych było 178 z 34,795 członkami (w czem 6,456 kobiet).

Syndykaty powyżej wyszczególnione, to syndykaty lokalne, obejmują osoby jednego zawodu w jednej miejscowości. Odpowiadają one angielskim lożom.

Znaczną część tych syndykatów jest połączona w federacje, obejmujące osoby jednego zawodu w granicach całej Francji.

Otoż z ogólnej ilości 4194 syndykatów patronalnych 2,852 z 312,706 członków są połączone w 135 federacji.

Z ogólnej liczby 5,354-ech syndykatów robotniczych — 3,538 z 729,822 członkami są połączone w 184 federacji.

Wreszcie z ogólnej liczby 178 syndykatów mieszanych — 48 z 7,622 członkami jest połączone w 12 federacji.

Niezależnie od tego istnieje 4743 syndykaty włościańskie, złożone z pracodawców przeważnie sobie samym dających pracę, które liczą 797,832 czł.

Podobną rolę, jak w Anglji, Trade-Council, Rada Związków — we Francji gra Giełda Pracy. Łączy ona robotników różnych zawodów na terenie jednej miejscowości.

Giełd Pracy było we Francji 143. W odróżnieniu od Anglji, gdzie Trade-Councile korzystają wyłącznie z funduszów robotniczych, francuskie Giełdy Pracy, oprócz gmachów, otrzymały 314,726 franków subwencji od samorządów miejskich i 59,225 fr. — od rad departamentalnych. Jak widzimy, budowa francuskiej organizacji zawodowej, przypomina angielską.

Są jednak pewne różnice. Francuski ruch zawodowy jest słabszy od angielskiego, natomiast jego struktura architektoniczna jest bardziej wykończona.

Już Kongres Marsylski w 1879-ym r. wyraził życzenie ujęcia w jedną całość organizacyjną całej klasy robotniczej. W 1895-ym r. powstaje Ogólna Konfederacja Pracy (Confédération Générale du Travail—C. G. T.), która dzisiejszą swoją postać przybiera w r. 1902-im. Nie możemy tu wchodzić w szczegóły tego rozwoju i przechodzimy wprost do opisu O. K. P. [1]) Składa się ona z dwóch sekcji: z sekcji federacji syndykatów i syndykatów izolowanych (t. j. lokalnych, które nie przyłączyły się do żadnej federacji), oraz z sekcji Giełd Pracy. Każdy syndykat powinien należeć do Giełdy pracy swojej okolicy i do federacji swojego zawodu, o ile taka istnieje. Wszystkie te zrzeszenia—federacje, odosobnione syndykaty, giełdy—wysyłają swoich delegatów na Kongres doroczny, który odbywa się w różnych miastach. Kongres wybiera delegatów do Komitetu, który zasiada w Paryżu i nosi nazwę ogólnej Konfederacji Pracy w ściślejszym znaczeniu tego wyrazu. Komitet dzieli się na dwie sekcje: federacji i giełd. Delegatów do pierwszej z tych dwóch sekcji wybierają reprezentanci federacji i syndykatów izolowanych; do drugiej—reprezentanci giełd. Komitet z pośród siebie wybiera swojego sekretarza i jego pomocnika.

Ten sekretarz Komitetu O. K. P., zwykle krótko zwany sekretarzom O. K. P., jest właściwie jej prezesem i wybory na ten urząd są zawsze bardzo pilnie śledzone przez ogół.

Każdy delegat na doroczny Kongres O. K. P. ma jeden głos i reprezentuje swoje zrzeszenia, bez względu na ilość jego członków. Ten system wyborczy jest przedmiotem zażartych sporów. Dzięki niemu nieliczne izolowane syndykaty, lub nawet nieliczne federacje mają jeden głos narówni z ogromnymi, po kilkadziesiąt tysięcy członków liczącymi federacjami, jak górnicy lub kolejarze. Małe, bojowe syndykaty, które nie mają nic do stracenia są zwolennikami tego systemu. Wielkie, poważne federacje zwalczają go. Pomimo tego, że większość *członków* jest przeciwną temu systemowi; utrzymuje się on jednak, gdyż większość *zrzeszeń* go popiera. Biorąc pod uwagę tylko ilość członków, jest to panowanie mniejszości nad większością. Aby każdy delegat reprezentował jednakową ilość głosów, należałoby wprowadzić system wyborów proporcjonalnych wewnątrz każdego zrzeszenia, a ilości głosów tego zrzeszenia na Kongresie ustosunkować do ilości członków. Słusznie zwrócono uwagę, że zwykły system głosowania większością zupełnie zamknąłby usta mniejszości i znów byłby niesprawiedliwy. Jeżeli—dajmy na to—w syndykacie liczącym 40,000 członków, 21,000 reprezentuje jedną tendencję, a 19,000—drugą, jeżeli syndykat ten ma prawo posłać 4-ech delegatów, to przy zwyczajnym większościowym systemie—wszyscy czterej będą zwolennikami pierwszej tendencji: druga jak-by nie istniała. Przy wyborach proporcjonalnych pierwszą reprezentowałoby trzech delegatów, drugą—jeden.

Przy obecnym, strasznie niesprawiedliwym systemie, wielka federacja licząca jakieś 40,000 członków, narówni z izolowanym syndykatem w zawodzie, gdzie wogóle syndykalizm nie jest rozwinięty (np. drwale), liczącym 40-tu członków,—na jeden głos.

Przeciwwagą tego systemu jest bardzo szeroka autonomja pozostawiona poszczególnym zrzeszeniom. Decyzje dorocznego Kongresu O. K. P. mają znaczenie dyrektyw, a nie nakazów. Postanowienie Komitetu O. K. P. mają znaczenie wyłącznie moralne. Obowiązek sprowadza się jedynie do płacenia składek na urządzenie kongresów i na utrzymanie Komitetu O. K. P., oraz do prenumerowania—po jednym egzemplarzu na każdy syndykat, choćby lokalny i wchodzący w skład jakiejś federacji—pisma *Głos ludu*, wydawanego przez Komitet.

Niezależnie od Kongresów O. K. P.,—bywają też i Kongresy poszczególnych zawodów, np. górników, malarzy i t. d. Postanowienia takiego Kongresu—jednozawodowego—mają moc obowiązującą dla swoich członków.

O ile zawód ten (np. francuska federacja górników) wchodzi w skład międzynarodowego związku (np. międzynarodowego związku górników) — to decyzje międzynarodowego Kongresu danego zawodu mają takie znaczenie tylko dyrektywy dla jego federacji narodowej.

O tem, co robią, jakie funkcje wykonywają francuskie syndykaty—najlepiej pouczą nas cyfry.

Oto działalność francuskich *syndykatów* (lokalnych lub izolowanych) za rok 1908-my:

	syndykaty patronalne	syndykaty robotnicze	syndykaty mieszane
Biur pośrednictwa pracy założyły	452,	1,420,	47
Bibliotek zawodowych	308,	1,632,	35
Kas pomocy wzajemnej	115,	1,141,	62
Kas pomocy dla pozbawionych pracy	9,	740,	14
Kas t. zw. viaticum[2])	35,	1,087,	6
Szkół i kursów	128,	421,	18
Kooperatyw spożywczych	29,	116,	9
Kooperatyw wytwórczych	6,	78,	—

Działalność *federacji*, także za r. 1908, wyraża się w następujących pozycjach:

	syndykaty patronalne	syndykaty robotnicze	syndykaty mieszane
Biur pośrednictwa pracy	4,	140,	1
Bibliotek zawodowych	15,	198.	2
Kas pomocy wzajemnej	6,	30,	—
Viaticum	—	50,	—
Wykładów zawodowych	6,	42,	—
Kas pomocy dla pozbawionych pracy	1,	24,	—

Działalność federacji jest oczywiście zawsze zakrojona na większą skalę niż działalność syndykatów.

Stosunek francuskiego syndykalizmu do partji politycznych jest bliższy, niż w Anglji. Francuskie syndykaty, jako młodsze, nie wyszły jeszcze całkowicie z fazy partyjności.

Przedewszystkiem owe 178 syndykatów mieszanych z 34,895 członkami są w mniejszej lub większej zależności od kleru katolickiego. Średniowieczne połączenie pracodawców i pracowników w jednej organizacji zawodowej, wpajanie posłuszeństwa robotnikowi, otaczanie kapitalisty aureolą ojca i dobrodzieja—wszystkie te cechy wstrętne, sprzeczne z godnością człowieka, charakteryzują syndykaty klerykalne.

(d. n.). *Jerzy Kurnatowski.*

Listy z Galicji.

XV.

Jeszcze o obstrukcji rusińskiej. Ostateczne porozumienie się stronnictw polskich w kwestji reformy wyborczej do sejmu. Zawieszenie broni w sejmie pomiędzy Polakami a Rusinami. Nowe pismo.

Dnia 3 listopada wybuchnęła ponownie w sejmie obstrukcja rusińska, spowodowana oporem posłów polskich przeciwko żądaniom klubu rusińskiego,

[1]) Zagadnienie to już raz opracowałem w studjum p. t. „Związki Zawodowe we Francji“, które było drukowane w „Nowej Gazecie“ (lub w „Ludzkości“) w Sierpniu 1907-go (lub 1906-go r).

[2]) Viaticum—pieniądze potrzebne na podróż dla znalezienia sobie zajęcia.

aby odroczyć inne sprawy aż do załatwienia roformy wyborczej.

Zanim wybuchęła obstrukcja zabrał głos prezes Koła, Głąbiński i wypowiedział mowę, która charakteryzuje doskonale jego samego i stronnictwo narodowo-demokratyczne. P. Głąbiński, zamiast wystąpić ostro przeciwko konserwatystom za ich wsteczne pomysły, zaznaczył na wstępie, że nie podziela oburzenia na nich posła Rutowskiego, i że wcale się im nie dziwi, że upierają się przy swoich żądaniach, gdyż wszystkie warstwy społeczne mają rację bytu i prawo do reprezentacji.

Bardzo jest mądrze wszystko rozumieć i niczemu się niedziwić. Niestosownym jest jednak dla posła „demokratycznego" w chwili, gdy konserwatyści nietylko nie robią ustępstw, ale chcą jeszcze osiągać nowe zdobycze (veto kurjalne i zwiększenie obowiązującego kompetu posłów dla dalszych zmian w ustawie wyborczej) — usprawiedliwiać ich i bronić przed zarzutem, tak, jak gdyby ich ktoś skrzywdził.

Przedewszystkim nie chodziło o zwalczanie konserwatystów za to, że chcieli otrzymać swoją kurję, lecz za to, że w zaślepieniu swoim i w apetytach politycznych stracili wszelką miarę.

Pan Głąbiński powinien wiedzieć z historji, że warstwy uprzywilejowane jakkolwiek zawsze i wszędzie dążą do utrzymania władzy i przywilejów, to jednak robią to w sposób rozmaity i w zależności od wyrobienia politycznego i szeregu innych okoliczności. Konserwatyści galicyjscy należą do najwsteczniejszych żywiołów w Europie. Upór ich wobec wszelkich reform odznacza się cynizmem i zupełnym niezrozumieniem położenia politycznego w kraju i państwie. Postępowanie ich jest tym wstrętniejsze jeszcze, że pozorują je „patrjotyzmem".

Pomiędzy polityką Koła Polskiego a sejmu powinna istnieć harmonja. Nie jest ona jednak możliwa, o ile skład tych dwu ciał jest bardzo różny, co znowu zależy od systemów wyborczych do parlamentu i sejmu. Tak więc z konieczności należy dążyć do tego aby sejm i parlament na jednych opierały się podstawach. Parlament nie może się przystosować do sejmu; sejm więc musi z czasem przystosować się do parlamentu.

Konserwatyści, którzy są „autonomistami" udają że tego nie rozumieją, i godząc się na bardzo nieznaczne ustępstwa, chcą zarazem zabezpieczyć się przed nową reformą na przyszłość.

Wszak sam fakt utrzymanie kurji wielkiej własności jest już daleko idącym kompromisem, ale to konserwatystom nie wystarcza jeszcze.

P. Głąbiński jednak nie dziwi się...

Pozwolił on sobie tylko na jedną uwagę, że nie należałoby utrudniać reformy na przyszłość, tembardziej, że trzeba będzie dać prawa polityczne kobietom.

Cała jego mowa zdradziła chęć przypodobania się konserwatystom, chęć wykazania, że jest dla nich mniej niebezpieczny od innych demokratów. P. Głąbiński potrzebuje konserwatystów i przygotowuje sobie poparcie ich na przyszłość, kiedy zjawią się inni kandydaci na stanowisko prezesa Koła Polskiego.

Kiedy Rusini postawili wniosek, aby usunąć rozmaite sprawy z porządku dziennego i zamknąć posiedzenie aż do ostatecznego skrystalizowania się reformy wyborczej — wówczas przywódcy stronnictw polskich sprzeciwili się temu, bez dostatecznych motywów. W przemówieniach swoich dowodzili naiwnie, że nie przyśpieszy to reformy wyborczej, że nie należy zaostrzać sytuacji i t. p. A przecież powinni byli znać konserwatystów i wiedzieć że bez ostrych środków nie podobna ich zmusić do ustępstw.

Odrzucenie wniosku Rusinów spowodowało ich obstrukcję, która trwała od 1 po południu do 5-tej. Mimo to marszałek Badeni nie przerwał posiedzenia. Posłowie wygłaszali mowy, których ogół w Sali nie słyszał, prócz kilku osób skupionych koło nich. Marszałek porozumiewał się z posłami albo przy pomocy syna swego i albo na migi. Posłowie na dany znak podnieśli ręce do góry i w ten sposób odbywało się głosowanie, które nie powinno być brane w rachubę. Posłowie rusińscy wnieśli też protest. Niewiadomo też, czy „uchwały" powzięte w ten sposób będą przez cesarza sankcjonowane.

Na następnym posiedzeniu 5 listopada oczekiwano znowu obstrukcji. Jednakże w końcu posłowie polscy ustąpili Rusinom i odroczyli posiedzenie do 7 listopada. Na decyzję tę wpłynęły dwie okoliczności: 1) obawa nowej obstrukcji, 2) okoliczność, że Rusini zażądali czasu na porozumienie się ze swoimi mężami zaufania poza sejmem w sprawie reformy wyborczej i tych zdobyczy narodowych, które im w odpowiedzi na ich żądania, zaproponowali posłowie polscy.

Widać teraz, jakim błędem był opór Polaków stawiany żądaniom Rusinów na posiedzeniu z dnia 3 listopada. Istotnie, poco było odrzucać propozycje Rusinów 3 listopada, by ją potym przyjąć 5-tego? Chyba poto tylko aby wywołać obstrukcję...

Gazeta Narodowa organ Podolaków, nawołuje Polaków do ostrożności w polityce ustępstw wobec Rusinów, wyrażając nadzieje, że rząd centralny nie będzie obecnie ich popierać. Organ ten nadzieje swoje opiera na zbliżeniu się Niemiec a przez to i Austrji do Rosji. *Gazeta Narodowa* sądzi, że rząd niemiecki tylko w przewidywaniu możliwego starcia Austrji z Rosją popierał Rusinów. Niezawodnie że wzgląd powyższy mógł odgrywać pewną rolę w polityce Wiednia wobec Rusinów; błędem byłoby jednak przypuszczanie, że nie zależy ona od innych stale działających przyczyn, mających znaczenie zasadnicze...

Rząd austrjacki, w interesie państwa, musi dążyć do zaprowadzenia pokoju narodowościowego w różnych krajach (a więc i w Galicji), który jest niezbędny dla normalnego rozwoju monarchji. Pokój taki nie da się pomyślić w Galicji bez poważnych ustępstw dla Rusinów. Następnie rząd austrjacki nie chce i nie może uzależniać się zbytecznie od Koła Polskiego, woli więc mieć wśród Rusinów, w razie potrzeby, odpowiednią przeciwwagę.

Te nadzieje *Gazety Narodowej* są bardzo charakterystyczne dla jej oblicza politycznego i dla jej „trójzaborowości".

Stronnictwa polskie doszły ostatecznie do kompromisu w sprawie reformy wyborczej do sejmu. „Kompromis" ten jest oczywiście zwycięztwem konserwatystów i porażką „lewicy demokratycznej". Wirylistów, zasiadających z urzędu ma być 15 (obecnie jest ich 12), przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej 44 (jak obecnie), przedstawicieli miast w obecnej kurji 36 (dziś jest 28), przedstawicieli miast w kurji powszechnej 10 (obecnie niema tej kurji), przedstawicieli Izb handlowo-przemysłowych 5 (obecnie 3), przedstawicieli Izb rękodzielniczych 2 (obecnie niema ich), przedstawicieli włościan wybranych przez głosowanie powszechne, bezpośrednie i tajne, ale zarazem pluralne (opłacający podatek będzie miał 2 głosy) 80 (dziś w kurji 4 cenzusowej jest 74)—razem 192 posłów.

Na przyszłość zastrzega się: że wszelka zmiana co do liczby przedstawicieli kurji wielkiej własn. oraz co do ilościowego ich stosunku do pozostałych posłów uchwalona być może tylko większością $^2/_3$ posłów przy komplecie 154 posłów obecnych w sejmie. Faktycznie jest to prawo veta dla kurji wielkiej własności. Istotnie dość jest aby 39 konserwatystów opuściło posiedzenie, aby żadna ważna reforma wyborcza w przyszłości się mogła być urzeczywistniona.

Stronnistwa polskie muszą się jeszcze porozumieć w sprawie tej reformy z Rusinami, którzy, jak wiemy, zażądali zarazem pewnych koncesji narodowościowych.

Otóż Polacy ofiarują Rusinom 44 mandaty na ogólną liczbę posłów 192. Mandaty te byłyby następujące:

Wirylnych głosów 3.
W kurji wielkiej własności ziemskiej 1.
W miastach 2.
W kurji miejskiej 38.

Po zatym Rusini mogliby zyskać może w powszechnej kurji miejskiej jeszcze 1 albo 2 mandaty.

Co do przekształcenia wydziału krajowego, to Polacy godzą się na to, aby było 8 członków jego, z pośród których 2 Rusinów. Obecnie jest 6-ciu członków, a jeden z nich jest Rusinem. Jak wiemy, Rusini domagają się 10 członków tej instytucji i 3 rodaków w tej liczbie. Co do innych żądań rusińskich Polacy nie wypowiedzieli się jeszcze.

Trudno dziś przewidzieć czy reforma wyborcza i ugoda narodowościowa dojdą do skutku. W każdym razie sprawy te posunęły się naprzód.

We Lwowie powstać ma nowe pismo — *Wielki Dziennik*. Wydawać je mają secesjoniści z narodowej-demokracji panowie Battaglia i German. Pismo to ma się stać organem demokracji-galicyjskiej, która ma utworzyć nowe stronnictwo. Podobno zebrano już kapitał 300,000 koron. Niezawodnie nowy ten organ podkopie wpływ *Słowa Polskiego*, a przez to i demokracji narodowej.

Ludwik Kulczycki.

BADANIA NAUKOWE.

Archeologja przedhistoryczna a ludoznawstwo.[1]

Promienie kultury nowoczesnej, opartej na wynikach wiedzy przyrodniczej i społecznej, dotykają zaledwie wierzchołków umysłowych naszego narodu; zaledwie drobna cząstka inteligiencji utrzymuje się na poziomie postulatów i dyrektyw XX-go stulecia, jeszcze mniejsza zaś stosuje je w praktyce myślenia i w praktyce — życia. Olbrzymia natomiast większość społeczeństwa tkwi ośrodkiem swych wyobrażeń i zasad w kulturze wieków minionych; przytym, im dalej posuwamy się w głąb warstw społecznych, im głębiej przenikamy w pokłady życia ludowego, tym starsze zabytki epok dawnych ukazują się przed naszymi oczyma. Przechodząc gmach budowy społecznej od góry do dołu, poczynając od szczytów inteligiencji aż do nizin umysłowych zapadłej okolicy wiejskiej, mijać będziemy kolejno przebyte szczeble cywilizacji, cofając się wstecz od chwili obecnej ku poglądom ery przed-Odrodzeniowej, potym ku mrokom Średniowiecza, przekroczymy fazę dalekiego pogaństwa, aż wreszcie utoniemy w echach pradawnej doby przedhistorycznej.

Rozkopując starożytne groby, badając dawne uroczyska, archeolog z pokładów ziemi wydobywa świadectwa prastarych wierzeń, dokumenty zgasłych ognisk cywilizacji: atoli obok świadectw materjalnych, w postaci narzędzi, naczyń, oręża, klejnotów, istnieją świadectwa natury psychologicznej, stanowiące materjał bogaty dla charakterystyki minionych etapów ludzkości. Są to przeżytki umysłowe i moralne, przesądy, gusła, zabobony. Gruntem kopalnym dla owych przeżytków ideowych jest niewyczerpana otchłań duszy ludowej. Wszakże, aby móc z tej kopalni korzystać, trzeba być nietylko uczonym, biegłym w zdobyczach ostatnich dociekań archeologji, ale i artystą — psychologiem, odgadującym treść życia poza kształtem zewnętrznym, potrzebę duszy poza wyrazem kultu lub znakiem obyczaju. Dla pracy owocnej w tej dziedzinie połączyć się musi wiedza rozległa i ścisła z wyobraźnią twórczą.

Tak cennemu skojarzeniu rzadkich kwalifikacji odpowiadają w zupełności prace badawcze Marjana Wawrzenieckiego: łączy on w sobie w równym stopniu zamiłowanie do sztuki i wiedzy; w malarstwie polskim, jako artysta oryginalny, zdobył on stanowisko poczesne; prócz talentu i wysokiego poczucia artystycznego rozporządza gruntowną wiedzą książkową; osobiste zaś doświadczenia fachowe w dziedzinie archeologji (Wawrzeniecki sam rozkopał dużo grobowców) dają mu możność ciągłego sprawdzania teorji za pomocą faktów.

Ludoznawstwo i archeologję pojmuje Wawrzeniecki jako dwa wzajem dopełniające się współczynniki w rozwoju wiedzy o dziejach kultury ludzkiej. Obyczaje, nałogi, obrzędy i tradycje, w łonie ludu przechowane, dają nam obraz naoczny dawno umarłej przeszłości; z drugiej zaś strony, wykopaliska archeologiczne, pozostałości kultury pierwotnej, ułatwiają nam zrozumienie niejednego zjawiska doby obecnej, które, przestawszy odpowiadać słusznym potrzebom życia, trwa dalej mocą bezwładu dziejowego.

Życie umysłowe i obyczajowe ludu naszego, które z pozoru wzrokowi bezkrytycznemu przedstawia się jako powierzchnia jednolita i spójna, w rzeczywistości, oświetlone reflektorem nauki, wygląda na mozajkę, złożoną z mnóstwa barw i odcieni, z których jedne zrodziły się dopiero w brzaskach dnia wczorajszego, a inne dźwigają na sobie ciężką patynę nieprzeliczonych w zamierzchłości wieków.

Nad jakimkolwiek kręgiem zjawisk zatrzymamy się w dziedzinie życia ludowego: czy to weźmiemy pod uwagę ulubione ludowi motywy zdobnicze, czy wytwórczość przedmiotów codziennego użytku, czy sferę pracy, wszędzie dostrzeżemy działanie pewnych ogólnych idej kierowniczych, które nakształt nici przewodnich wiążą zjawiska owe w grupy charakterystyczne. Uchwycenie istoty owych idej bywa zadaniem niezmiernie trudnym. Skoro jednak uda się nam ująć ich charakter, ująć i wyświetlić ich kierunek, aby, śledząc zawiły ich rodowód, sięgnąć do źródeł genezy, wówczas przekonywamy się, że idee owe korzeniem swym tkwią w gruncie niezmiernie odległej przeszłości, przeszłości wykraczającej niejednokrotnie poza wszelkie rubieże badań dziejowych.

Aby zilustrować obrazowo metodę krytyczną autora, weźmiemy przytoczony przezeń przykład, przykład jeden z tysiąca:

„Oto znamy na rozstajach stojące t. zw. „Boże Męki". [1]) Są to stare krzyże, na których rozpięty Chrystus, pod jego nogami trupia głowa i dwie skrzyżowane kości. Nad Chrystusem żelazny kogut, a na słupie krzyża rozmaite artybuty „Męki Pańskiej", rzeźbione, ryte, z blachy wycinane. Przytym zwykle wyobrażenia słońca i półksiężyca, niekiedy ręka zwrócona dłonią do widza z wyprostowanymi palcami". Naturalnie, według mniemania powszechnego, cała „Boża Męka" jest wytworem kultu chrześcijańskiego. Tradycja pobożnie zogniskowała w niej promienie najrzewniejszych uczuć żarliwości religijnej. Równie jak dzwony na „Anioł Pański", stała się przydrożna „Męka Boża" poetyckim symbolem wiary chrześcijańskiej w oczach całego narodu.

Z kolei, rozpatrzmy ten chrześcijański wytwór

---

[1]) Nowe naukowe stanowisko pojmowania i wyjaśniania niektórych przejawów w dziedzinie ludoznawstwa i archeologji przedhistorycznej. Naukowa notata przedwstępna — zauważył, obmyślił i przystosował Marjan Wawrzeniecki, członek komisji do badań nad historją Sztuki w Polsce oraz komisji antropologicznej przy Akademji Umiejętności w Krakowie. Warszawa, 1910. Nakładem autora.

[1]) Pospolite w okolicach Skalbmierza, Proszowic i Krakowa.

w świetle metody naukowej autora, uzbrojonego w zdobycze umiejętności nowoczesnych:

„Rozstaje, krzyżowe drogi, pustkowia poza wsiami, gdzie takowe drogi przypadają,—wytłomaczy nam on, — są znane etnografom, jako miejsca podległe sile nieczystej. Tu „zły" ma swoje panowanie i tu też urok najłatwiej do człowieka przylega. Aby temu kres położyć, pobożni na urągowisko „złemu" stawiają „Boże Męki" na tych właśnie miejscach. Ale o dziwo! wszystkie atrybuty owej „Męki Bożej" na podstawie krzyża uwidocznione znajdujemy wyobrażone na naczyniach rzymskich z epok na kilka setek lat pojawienie się Chrystusa wyprzedzających. [1]) Sam krzyż, zresztą, jak jego historja wykazuje, jest symbolem o kilka tysięcy lat starszym od epoki Chrystusa. (Swastika). Żelazny kogut na krzyżu to znowu symbol ptaka niezmiernie urokowi szkodliwego. (Pianie kura i znikanie szatanów, upiorów, wiedźm, powszechne u nas). Słowem cała „Boża Męka" przedstawia się dwoiście. Dla chrześcijanina będzie ona uprzytomnieniem cierpień Zbawiciela za nasze winy; dla uczonego badacza prezerwatywą od „złego oka", „uroku", uzbrojoną we wszelkie najodwieczniejsze a silne i skuteczne symbole (stare i nowsze np. Chrystus), neutralizujące siłę nieczystą szkodliwą na tym miejscu (drogi krzyżowe, pustkowia) dla człowieka".

Mamy więc tu do czynienia z nawarstwieniem dwu odległych od siebie epok, które wzajemnie się zakrywając, upostaciowały swe odrębne wierzenia w tych samych symbolach; te same znaki zewnętrzne, pozostając bez zmiany w długiej kolei epok, służą za wyraz widomy wyobrażeniom nieskończenie różnych, co do treści wewnętrznej, światopoglądów.

W świetle przesłanek powyższych, staje się rzeczą jasną, że bez poznania całego zasobu wierzeń i t. zw. zabobonów (które są zużytymi już wierzeniami lub przeżytkami wierzeń) nigdy należytego zrozumienia najwybitniejszych upodobań zdobniczych ludu nie zdobędziemy.

Każdy niemal motyw zdobniczy w sztuce ludowej wlecze za sobą dziejowe chóry suggestji wierzeniowych.

„Jeżeli zechcemy, — powiada autor, — rozpatrywać wytwory ludowe dotyczące grupy „mieszkanie i odzienie", to w pierwszej linji zapytać się musimy, kogo zabezpieczają te dwie grupy wytworów? — Naturalnie, —odpowiemy,— zabezpieczają one nas od wpływów klimatycznych.

Czy jednak tylko i wyłącznie od wpływów klimatycznych?— zapytuje znowu archeolog. Czy należycie zabezpieczony od wpływów klimatycznych człowiek nie może już obawiać się niczego dla siebie?

Tu bez znajomości odwiecznych pojęć i zabobonów ogólno-ludzkich ani kroku dalej postąpić już niepodobne.

Bo co szkodzić może ciału człowieka, który zabezpieczył się od upływów klimatu?— Z pozoru nic. A przecież jest potężny czynnik wszechludzki, który może wywierać swój ujemny wpływ doniosły na życie człowieka. Jest to wpływ „złego oka," czyli poprostu „uroku". Złe oko, urok, zapobieganie jego zgubnym wpływom, to czynnik wszechświatowy. Gdzie tylko żyje istota ludzka, tam czynnik ten przejawia się bezwarunkowo.

Kiedy ze stanowiska tego czynnika rozpatrzymy poszczególne części ubioru, odkryje się nam świat nowy, świat nieznany.

Zwróćmy choćby uwagę na spinki mosiężne, jakie noszą górale Tatrzańscy na piersiach dla spinania koszuli. „Przedewszystkim ornamentacja ryta na spince symbolizuje słońce (str. 7). U góry zamyka spinkę krzyż równoramienny na słońcu promieniejącym osadzony, na krzyżu wyryte I M S lub J H S (naleciałości chrześcijańskie). Na szpili zaś mamy dwa charakterystyczne wycinki, będące najwyraźniej reminiscencją phallusa z profilu". Oto więc spostrzegamy cały szereg symbolów potężnych do odwrócenia i zneutralizowania „złego oka".

Autor przytacza mnóstwo przykładów przejawiającej się w ten sposób „dziedziczności umysłowej"; wszelako, aby całą tę dziedzinę zjawisk wyczerpać, trzebaby napisać dzieło kilkotomowe; autor zmuszony był ograniczyć się rozmiarami niewielkiej broszury, dając nie wykład całkowity, ale dopiero „notatkę przedwstępną". Nie wyczerpując zagadnienia, notatka owa stanowi cenny drogowskaz na zaniedbanym przez nas polu badań nad dziejami kultury. W innych krajach zagadnieniu temu poświęcane są katedry i gmachy muzealne. U nas dźwigać się ono musi wysiłkiem indywidualnym jednostek, pracujących samotnie, śród powszechnego zobojętnienia ogółu.

W. R.

[1]) Zol. Der Böse Blick und verwandtes. D-r S. Seligmann. tom II wizerunek 150, 151, 152.

Zjawiska odrastania (regeneracji) według Korschelta.

Zjawiska regeneracji budzą interes nietylko ze stanowiska czystej biologji, zmierzającej do wykrywania bezinteresownej prawdy, lecz sferą swego zaciekawienia ogarniają i lekarzy operatorów, gdyż powodzenie ich rękoczynów nie dałoby się pomyśleć, gdyby zjawiska te zgoła nie istniały. Wszelkie gojenie się odbywa się na mocy praw immanentnych ustroju, jakie ujawniają się przy regeneracji.

Regenerację t. j odrastanie usuniętych z ustroju narządów, można uważać za wywołany sztucznie proces rozwoju płodu, powtórzony na mniejszą skalę. Niejedno ośmiela do takiego zapatrywania na te zjawiska. Nie wszyscy jednak spokrewniają zjawiska regeracji ze zjawiskami embryonalnymi; botanik Vöchting np. spokrewnia regenerację z procesem wzrastania, i wraz z Hertwigem uważa ją za pierwotną własność materji ożywionej.

Ponieważ procesy rozwojowe płodu mało są dostępne szczegółowemu badaniu, przeto możność dokładniejszego badania ich w uszczuplonym zakresie pod postacią regeneracji jest nie małym udogodnieniem. Około 200 badaczy, w tej liczbie tylko 1 proc. polskich, poświęcało pracę temu zagadnieniu. Stworzyło to literaturę, mogącą stanowić małą bibljoteczkę.

Odnośne zjawiska w świecie roślinnym i zwierzęcym opisał, ugrupował i systematycznie zestawił Korschelt; z tą jego wyborną informacyjną pracą chcemy zapoznać czytelników *Prawdy*.

Celem badania zjawisk jest wykrywanie ich dalszych lub bliższych przyczyn i w pewnej mierze opanowanie warunków, przy których dane zjawisko powstaje. Ugrupowanie zjawisk, według ich podobieństwa już ułatwia zorjentowanie się i porównywanie ich między sobą. To też należy rozróżniać regenerację u roślin i zwierząt. Rośliny odnawiają się nie w miejscu zranienia w drodze powtórnego utworzenia w tym miejscu usuniętych części, lecz robią to one w drodze wytwarzania kompensaty pod postacią pobocznych pędów i dodatkowych pączków w sąsiedztwie zranienia. Rośliny zachowują się tak, jak gdyby małe grupy ich komórek w wielu miejscach stanowiły w postaci utajonej wielką ilość zapasowych narządów, które specjalny bodziec pod postacią zranienia powołuje do ujawnionego bytowania. Takie przybyszowe pączki dają się otrzymać na liściu, na jego ogonku, nawet na wąsach, będących przekształconym liściem, wreszcie na uszkodzonym korzeniu. Licuje to z charakterem

ustroju roślin, narażonych obficie na uszkodzenia, których nie mogą one uniknąć ze względu na wątłość i łamliwość swych tkanek, ze względu na niezdolność do ucieczki i uchylania się, dzięki przytwierdzonemu sposobowi życia.

Nie wszystkie jednak rośliny tak się zachowują i w taki kompesacyjny sposób wynagradzają sobie utratę usuniętych części. Są między nimi i takie, u których odrastanie utraconych części odbywa się według wzoru regeneracji zwierzęcej, t. j. odrastający nowotwór powstaje nie obok zranienia, lecz powstaje na samej powierzchni rany i tworzy się z tych samych resztek tkanki, jaka pozostaje po dokonaniu amputacji. Na mocy tego np. uszkodzone blaszki liścia uzupełniają się do całego liścia, ucięty korzeń podlega również „restitutio ad integrum".

Zdolność regeneracyjna roślin wogóle jest bardzo duża i wszelki ułamek może być uważanym za zarodek, zawierający zawiązki wszystkich składników całej rośliny, skoro z ułamka wyrasta cała roślina.

Nie jest obojętnym zestawienie zjawisk regeneracji, spostrzeganych na ustrojach żywych, z regeneracją kryształów. Lehman, Rout, Morgan, Pozibram i Rauber mieli sposobność wskazać w ostatnich czasach na większą ilość analogji, dotąd tylko wiadomych, pomiędzy kryształami, a jednokomórkowymi ustrojami. Ten ostatni zwrócił uwagę na analogje pod względem regeneracji, polegające na dążności do odzyskiwania raz osiągniętego kształtu, gdy ten z jakichbądź powodów bywa naruszony. Ale obok podobieństw istnieją i różnice w regeneracji kryształu i ustroju żywego. Kryształ uszkodzony, powracając do swej indywidualnej swoistej formy, narasta nietylko w miejscu uszkodzonym, ale na całej swej powierzchni, chociaż w miejscu uszkodzonym to narastanie szybciej się odbywa. Różnica jednak ginie, jeżeli roztwór, dostarczający zanurzonemu w nim kryształowi materjału na odbudowę, zabezpieczony jest od parowania. Przy odrastaniu kryształów hemoglobiny i ten warunek odpada. Tak zwane płynne kryształy posiadają własność powracania do pierwotnej formy, gdy ciśnienie lub inne działanie mechaniczne z zewnątrz je zdeformuje. Nie mniej stwierdzono, że pośród kryształów płynnych dwa osobniki krystaliczne są w stanie zlewać się ze sobą, tworząc jedno indywiduum krystaliczne tej samej formy. Różnica pomiędzy regeneracją kryształu a ustroju żywego do czasu głębszego wniknięcia w te procesy zasadza się jednak na tym, że ustrój żywy sam wytwarza materjał do swej odbudowy, kryształ zaś musi materjał budowlany czerpać z zewnątrz.

Zdolność regeneracyjna właściwą jest w większym lub mniejszym stopniu nie tylko niższym tkankowcom, ale nawet kręgowcom.

Co się tyczy uszkodzenia zapłodnionego jajka, to, jeżeli się je podzieli, zachowując w każdym ułamku wszystkie rodzaje jego składowych części, nie przeszkadza to rozwojowi, a wpływa jedynie na zmniejszenie kalibru powstałego stąd płodu.

Jednokomórkowe pierwotniaki, jak pełzak, lub wymoczek *Stentor*, poszarpane na kawałki, odrastają w każdym kawałku do całości tylko wówczas, jeżeli w każdym z kawałków zachował się choć strzępek jądra; kawałki zarodziowe, takiego strzępka pozbawione, podlegają zwyrodnieniu.

Zwracając się do ustrojów wyżej organizowanych, spostrzegamy, że szkarłupnie, rozgwiazdy, wężowidła posiadają też dużą zdolność regeneracyjną. Rozgwiazdy, których ramiona są bardzo kruche, łamliwe i łatwo odpadają, dzięki dużej zdolności do odrastania do całości zdobywają tą drogą możność rozmnażania się jak gdyby przez podział. To samo tyczy się i zwierząt, którym, właściwą jest t. z. *autotomia* (dająca im możność uciec od prześladowcy w drodze samoodrywania się reszty ustroju od tego swego narządu, za który napastnik chwycił. U wielu pierścienic procesowi rozmnażania się przez podział towarzyszy nawet proces regeneracji i współistnieje z nim, poprzedzając moment rozpadnięcia się osobnika macierzystego na kilka potomnych. Zjawisko takie, jak wyżej wspomniane, spostrzega się u *Sterostoma Sieboldii Autolytus cornutus Microstoma lineare*

(d. n) *Alexy Kurcyusz.*

LITERATURA i SZTUKA.

Nietzsche i Poezja.

Skoro o poezji mówić zaczyna Goethe, odrazu wzbudza on zaufanie, jak doświadczony praktyk, wykładający tajemnice swej sztuki. Czy możemy czuć podobnież głębokie w tym względzie zaufanie do Nietzschego? Przedewszystkiem: czy miłował on poezję, czy ją czuł? Czyli nie była dlań tylko grą czczych ułud i pozorów? Znamy wszak doskonale owych krytyków zręcznych, którzy szukają przykładów dla poparcia swych z góry powziętych teorji i którzy przykłady takie znajdują. Ale Nietzsche doznaje wzruszeń rzeczywistych; ma on treść istotną; słowem, przedstawia piękny typ *empiryka*. Doprawdy, zasługuje na zaufanie.

W tonie p. n. *Ludzkie-Arcyludzkie* pisze wspaniałą pochwałę klasycznemu teatrowi francuskiemu, sprowadza Lessinga do stanowiska właściwego, oddaje sprawiedliwość należną Wolterowi, lituje się nad naszą nowoczesną barbarją wraz z jałowymi jej *doświadczeniami*. W końcu maluje przepyszny wizerunek dojrzałości Goethego: pokazuje nam go ubolewającym, iż pracował wespół z burzycielami, usiłującym nawiązać przerwaną tradycję i pełnym tęsknoty ku doskonałości i pełni życia starożytnego.

Miło jest słuchać rozpraw Nietzschego o przedziwnej architekturze Tragedji francuskiej. Niewątpliwie, gardzić nie należy kolorytem i brawurą dramatu hiszpańskiego; godzi się nieprzerwanie wielbić Szekspira, który jest samą poezją. Wszelako ten, kto nie jest zdolny wyrozumieć, iż Corneille, mimo swe braki, a Racine w zupełności, posiadł jedyną sztukę prawdziwą od czasów greckich, zasługuje na to, by się doń zwrócić z apostrofą z chóru *Edypa w Kolonie*: „O! biada! Azali ślepcem przyszedłeś na świat?"

To, co mówi Nietzsche o *skoku wstecz ku naturalizmowi, w początkach sztuki*, jest wyborne; wielu poetów powinno wziąć to sobie pod uwagę. Lessing oddał, być może, usługi językowi niemieckiemu, atoli *Dramaturgja* jego pełna jest zimnych, odrażających konceptów. Był to umysł ociężały, dość światły, wyrosły w środowisku społecznym pozbawionym wielkości. Powziął on zamiar zbudowania swej chwały na gruzach wpływów francuskich... Lessing wyrażał się z wielkim niesmakiem o Corneille'u. Zwał go *partaczem* i oskarżał o złe rozumienie Arystotelesa. Jak dziwnie wygląda podobny zarzut wobec twórcy *Horacego* i *Cyda*! Lessing napisał kilka sztuk zgoła śmiesznych, przechwalał się zaś, iż potrafi tragedje Corneille'a poprawić.

Lord Byron mawiał: *Szekspir jest dla mnie najgorszym ze wzorów, aczkolwiek najniezwyklejszy z poetów.*

To pewno, że Byron ustawicznie szukał wyrazu, mogącego potłumić nawałność jego uczuć, że miał on poczucie i zmysł harmonji klasycznej. Co do słów jego o Szekspirze, to należy je rozumieć tak: poezja, płynąca, że tak powiem, spokojnie w dziele wielkiego tragika, bije z najszczytniejszych źródeł, forma wszakże, *której uległ* poeta, daje jaknajgorszy przykład.

Letourneur i jego akolici, romatycy francuscy oraz niemieccy, przeszli obok poezji szekspirowskiej i zasmakowali jedynie w jej formie.

Tragedje Woltera wydają się nam dzisiaj pozbawione smaku i siły, nakształt lichego wina. I do pewnego stopnia słusznie; wszelako Nietzsche również ma słuszność, nazywając Woltera *ostatnim z wielkich poetów dramatycznych, który otamował miarą grecką swą duszę*... Był on niezaprzeczenie pierwszy śród ludzi swego czasu w dziedzinie sztuki Corneille'a i Racine'a, i pomimo słabego napięcia tonu swych sztuk, zachował on dotychczas niemałą wartość, przynajmniej ze stanowiska historycznego. W swych przedmowach, tak nieraz ciekawych, wygłasza on o tragikach ateńskich niejedno głupstwo, atoli jest rzeczą jasną, iż miał on poczucie i smak ich sztuki. Z pewnością stoi on bliżej Greków, niż jego oskarżyciel niemiecki—Lessing, i nawet niż współziomek jego Diderot. Najsubtelniej określił Nietzsche Woltera w następującej uwadze: *był on jednym z ostatnich, którzy umieli połączyć w sobie najwyższą wolność duchową z usposobieniem zupełnie nierewolucyjnym.* Tak, Wolter był duchem wolnym, lecz nie był wywrotowcem. Wiem teraz dlaczego, mimo tysiąca odraz, pociągał mię on zawsze.

Życie artystyczne Goethego, takie jakim przedstawia je Nietzsche, jest przykładem, powodem rozpaczy, a zarazem źródłem pociechy. Jego słynna pogoda ma pewne pokrewieństwo z mniemanym samolubstwem La Fontaine'a. Wnioski moralne bajkopisa, tak niekiedy twarde, płyną jedynie z wybuchowej lecz ukształconej jego wrażliwości, która poczyna drwić sama ze siebie i filozofować. Co do Goethego, nie zapominajcie, że, jeśli patrzy on na świat pogodnie, pogoda jego ma wyraz najgłębszego smutku i umiłowania świata.

Biada poecie, który na świat przychodzi w jednym z owych momentów dwuznacznych, kiedy tradycja sztuki chyli się do upadku, kiedy konieczność wymaga obalenia porządku istniejącego, aby w następstwie odbudować go na podstawie trwalszej. Może sława owego poety stanie się godną zazdrości, ale życie jego będzie zatrute na zawsze.

Autor *Fausta* urodził się w jednym z tych nieszczęsnych okresów, w których talent prawdziwy, aby mógł być płodny, skazany bywa na oddawanie się tysiącznym szaleństwom.

Był on zrazu nimi jak olśniony i, nie zastanawiając się, wszelkie złe przeciwności losu brał za dary niebios. Tym snadniej uległ on złudzeniu, iż ohydna kostrzewa pleniła się u jego stóp na podobieństwo zbóż dojrzewających W ten sposób mijał on swe młode a potym męzkie lata, aż staną u progu starości. Wówczas, zdjęty nagłym lękiem, obrócił wzrok bolesny na piękne dokoła siebie ruiny, których sam, poczęści, był sprawcą. Zaczął więc je odbudowywać, i w pracę tę włożył całą swą miłość, swe siły ostatnie, dosyć jeszcze krzepkie. Smukłe kolumny strzeliły niebawem w błękit sztuki, lecz chram pozostał nieskończony, i poszarpane jego złomy głuszą nadal śpiew chórów greckich.

Jean Moréas (tłom. *I. Z.*).

KRYTYKA LITERACKA i ARTYSTYCZNA

Z Teatru Rozmaitości.

„Gody życia", dramat współczesny w 4-ch aktach Stanisława Przybyszewskiego.

Kartą z dziejów martyrologji duszy kobiecej jest ostatnia sztuka Przybyszewskiego, kartą, napisaną krwią serdeczną, poczętą w bólu tragicznym. Jest to historja dość zwykła w życiu współczesnej kobiety i dlatego może wywołuje tyle współczucia wśród publiczności, nie umiejącej lub nie mogącej wyjść poza ciasne koło obecnie panującej burżuazyjnej etyki.

Hanka Bielska, kobieta czysta i świetlana, pokochała innego. Nie chcąc oszukiwać męża, którego szanowała, nie mogąc frymarczyć ciałem i kalać czystej swej duszy, zdobywa się na czyn, do którego, jak słusznie mówi Orlicz, nie dorosła: porzuca męża, i dziecko dla kochanka. I oto już jako pani Wacławowa Drwęska męczy się tęsknotą za utraconym dzieckiem. Lecz w Drwęskim nie znajduje człowieka, który w ukochanej kobiecie uszanuje naturalne uczucie macierzyństwa. Dla niego *jej* dziecko jest intruzem, psującym mu harmonję miłości. „Ja cię chcę mieć taką, jakąś mi się oddała w pierwszej chwili naszej miłości — bez wyrzutów, bez ciężarów, bez innych tęsknot i pragnień. Mnie jednego masz kochać— o wszystkim zapomnieć — o niczem nie myśleć prócz o mnie... Jeżeli nie będziesz umiała żyć tylko dla siebie i dla mnie, jak ja tylko dla Ciebie żyję — znienawidzę... twoje dziecko!"

Lecz Hanka dziecka zapomnieć nie może. Nie pozwala jej na to, ani jej silnie rozwinięte uczucie macierzyńskie, którego dość samolubna miłość samcza nie wykorzeniła, nie pozwoli na to zresztą świat cały, który w osobie Orlicza i przyjaciółki Zofji rozrania jej serce wspomnieniami o dziecku. Obudzona z namiętnej miłości do kochanka straszliwą tęsknotą za dzieckiem, ucieka Hanka z domu Drwęskiego, by choć na chwilę ujrzeć dziecko.

Lecz napróżno! Napróżno w bólu i męce pędziła za dzieckiem. Zmęczoną i zziębniętą oschle i twardo przyjmuje własna siostra i, niewyrozumiała na ból matki, myśli zaledwie o zażegnaniu skandalu. Napróżno ze skruszonym z bólu sercem prosi Bielskiego o pozwolenie zobaczenia dziecka, dla którego gotowa się nawet wyrzec szczęścia miłości, jakie jej bądź co bądź kochanek daje... Wszystko napróżno i zapóźno! Oparty na twardym prawie z katowskim uporem nie pozwala jej Bielski widzieć się z dzieckiem, któremu powiedział, że matka umarła. Więc w nocy zakrada się do domu Bielskiego, by dziecko zobaczyć. Dziecina wcześnie porzucona nie poznaje własnej matki i przestraszona, z krzykiem ucieka, a biedna Hanka wybiega zgnębiona, nieprzytomna, ledwie zdolna utrzymać się na nogach, by wpaść w ręce Janoty, jedynego człowieka, którego dobroci zawierzyła i który dotąd nad nią czuwał... I oto ten właśnie człowiek, pobudzony zwierzęcym instynktem, skorzystał w haniebny sposób z bezwładnego przygnębienia Hanki... Brutalny podły gwałt zadany jej ciału, aczkolwiek bez uczestnictwa jej woli, jej duszy dobija Hankę moralnie. Ona obecnie czuje się skalaną, ona obecnie już wie, że nie można mieć dla niej ani dobroci, ani współczucia lub przyjaźni, lecz co najwyżej ślepe, brudne pożądanie. Janota, według niej, nie ośmieliłby się nigdy względem prawowitej żony na to, co zrobił z cudzą kochanką. Wydarł on jej ostatni atut życiowej gry, Hanka nie ma już z czym i do kogo pójść... Więc nad jej nędzą ludzką ulituje się obłęd.

Inni zamordują, zgnębią, zduszą bez litości, a obłąd przyhołubi, przytuli i jeszcze wskaże drogę wyjścia. Bo oto u stóp skały stromej leży źródełko w przepaści bezdennej. Kto się w nim wykąpie, to się ze wszystkich grzechów oszyści, a choćby z największych zbrodni... A jak kto ma jakieś strapienie, to mu zaraz ulży, jakby kamień z serca spadł, a jak kto żyć nie może, to ozdrowieje...

Do tego źródełka, wskazanego przez obłąkaną żebraczkę, do tego jedynego wyjścia z błota i nędzy życia, dąży Hanka i stacza się ze skały w przepaść i znajduje wybawienie z moralnych katuszy — znajduje śmierć; oczyszczenie ze wszystkich grzechów i największych zbrodni, najwyższą karę, jaką jej mógł

wymierzyć, porządek społeczny, z którym weszła w kolizje.

Dramat Przybyszewskiego wzbudzał łzy wzruszenia wśród publiczności, zwłaszcza wśród niewiast. Widziały one w losach tragicznych czystej świetlanej Hanki tyle przeżyć własnych, tyle zatargów, tyle tłumionych osobistych porywów... Zasuggestjonowane, zahypnotyzowane siłą talentu dramatycznego autora czuły tragizm sytuacji, całe piekło tego obowiązującego kodeksu, który nie pozwala kobiecie czystej i dobrej iść za głosem swych uczuć i strąca ją w przepaść za każdy czyn, będący w kolizji z istniejącym porządkiem społecznym. Talent dramatyczny Przybyszewskiego jest tak wielki, hypnoza i syggestja tak oddziaływa, że słuchacz i widz tylko odczuwa niesłuszność mąk zadawanych przez świat i ludzi bohaterce i zapomina o tym, że dramatu mogłoby nie być, gdyby Hanka dorosła do czynu, który popełniła. Słowa Orlicza stanowią najcięższy zarzut, jaki można zrobić „Godom życia".

Bierni, słabi bohaterowie dramatów Przybyszewskiego męczą się w kole ciasnych pojęć burżuazyjnych, giną w nim, i nie widzą wyjścia poza to koło, bo nie dorośli do czynu. A jednak dla ludzi czystych i silnych jest wyjście poza ciasny krąg burżuazyjnego młynka, tylko trzeba istotnie z niego wyjść, a nie pozostawać i męczyć się. Kto, jak Hanka nie dorósł do czynu, musi się zgodzić na kompromisy, z czym się już burżuazja w swym tokowisku oddawna pogodziła. A życia poza poza sferą obecnych poglądów Przybyszewski nie przedstawia i, sądząc z jego dramatów nie widzi, i to jest może główny powód, dlaczego mimo przekleństw rzucanych na niego przez rozmaitych obłudnych apostołów cnoty, pozostał on najbardziej poczytnym i interesującym pisarzem burżuazji, piewcą niedoli serdecznej kobiet burżuazji.

Krytyka widziała w „Godach życia" ponowne rozwiązanie starej tezy „kochanek, czy dziecko?" może wskutek tego, że zawiązując węzeł dramatu autor aż dwie odsłony poświęcił na budzącą się tęsknotę Hanki do dziecka. Przybyszewski słusznie oponuje przeciwko temu we wstępie, którym zaopatrzył książkowe wydanie swego dramatu. Odebranie matce dziecka w danym dramacie jest tylko jednym z wielu ogniw tego łańcucha, którym więzi i dusi obecny porządek społeczny kobietę, usiłującą wydobyć się poza obłudę małżeńskiego współżycia i sankcjonuje mianem prawa to, co jest najohydniejszym gwałtem, przeciwnym naturze., Gwałt zadany jej przez Janotę, noszący cechę przypadkowości, pomimo, że obudzenie się la bête humaine w niezłym może w gruncie człowieku jest możliwe i w literaturze już użyte, [1]) dopełnia obrazu całej Gehenny mąk, jakie kobieta, która się odważy naruszyć porządek społeczny, przechodzić musi i w którąkolwiek stronę się zwróci, obuchem w głowę dostaje, a tam ostatecznie, gdzie się odrobiny dobroci spodziewa, czyha na nią zagłada.

Wykonanie dramatu Przybyszewskiego mimo pewnych usterek i niedopasowań w tonie było na ogół bardzo dobre.

Postać bohaterki znalazła idealną wykonawczynię w osobie pani Przybyłko-Potockiej. Było to ucieleśnienie męki kobiety, broniącej swych praw, tak wymownie, tak prawdziwie, że na tych szczytach artyzmu nie widzieliśmy już aktorki, lecz żyjącą postać zawiedzionego w swych uczuciach człowieka.

Pani Mirska stworzyła piękną postać sponiewieranej w swych uczuciach Zofji i grała ze skupieniem i siłą. Śliczny typ żebraczki artystycznie wykonała pani Bogusławska. W rolach męskich wyróżnili się Nowicki, który dał silną postać kochanka, Wostrowski, Brydziński i Łądnowski, którzy w odpowiednim tonie „przybyszewszczyzny" utrzymali swe kreacje.

Stanisław Czerski.

---

[1]) „Bezdeń" Andrejewa.

Józef Jankowski. **Kesa** (utwory dramatyczne i obrazy niknące). Warszawa, 1910. Lwów. Sadowski.

Autor „Kesy" wyróżnia się z pozostałej rzeszy piszących odrębną lecz zupełnie oryginalną—gestykulacją. Jego pisarskie ruchy cechuje wielka prostota i bezpośredniość. Utwory Jankowskiego zdają się być redagowane przez dzieci

Stąd ich osobliwy wdzięk — gołębia czystość i prymitywne piękno. Wdzięk ten i piękno polegają głównie na prostej i niewyszukanej realizacji pomysłów, powstałych raczej w wyobraźni promiennego dziecka—poety, niżli wytrawnego literata.

Na wstępie „Kesy" znajdujemy piękne studjum o teatrze japońskim—następnie daje nam autor próbkę swego własnego dramatu w 2 aktach, zaczerpniętego z motywów japońskich — oprócz tego spotykamy tam efektowną fraszkę sceniczną podług bajki Lafontain'a p. t. „Niedźwiedzia przysługa".

Wiele szczerej poezji posiada przekład (parafraza rymowana) sceny z dramatu Maeterlincka „Aglawena i Selyzeta". Rzeczy te jednak dają zaledwie słabe wyobrażenie o indywidualności pisarskiej autora.

Wystarczy jednak przeczytać chociażby ten niewielki oryginalny utwór rymowany p. t. „Siostra Łucja", by się przekonać, że Jankowski włada po mistszowsku wierszem, wczuwa się w życie swych bohaterów i wymagające zazwyczaj poważnego opracowania technicznego t. zw.—tezy czyli idee przewodnie utworów — umie przedstawić w sposób dziecięco—prosty, posiłkując się w tym celu archaiczną formą wierszowaną.

„Miłosna sprawa, jak świat stara
A taka wiecznie nowa,
A pod postacią słodkich czarów
Truciznę zawsze chowa.
Miłosna sprawa! jak świat stara,
Choć rajem nęci pięknie;
Nie jedno przez nią pękło serce
Nie jedno jeszcze pęknie".

Powyżej wskazanemi zaletami odznaczają się również pozostałe w zbiorze utwory oryginalne. „Nad morzem", „Do miasta", „Grzech śmiertelny", „Kolega" i inne.

Stanowią one niewielki cykl nowelek, które sam autor nazwał tylko—„obrazkami niknącymi".

N.

NA DOBIE.

Monopol oo. Jezuitów.

Rzymscy korespondenci pism francuskich donoszą: jak wiadomo, ostatnią konstytucją *Sacrorum* zakazał papież lektury pism i gazet nawet katolickich w seminarjach duchownych, aby nie narażać na szwank bogobojnego skupienia ducha przy studjach teologicznych. W tych dniach dekret kongregacji konsystorjalnej rozciągnął ten zakaz na wszystkie zakony i bractwa religijne.

Jednocześnie ukazał się reskrypt, nadający oo. Jezuitom wyłączne prawo kolporterki pism i wydawnictw perjodycznych po seminarjach i klasztorach. Obecnie organizacja tego przedsięwzięcia, które wieńczy panowanie jezuickie na Watykanie, dobiega końca; niebawem świat katolicki znajdzie się cały w ręku dzieci Lojoli.

Ta krótka notatka obejdzie się bez komentarzy. Jedna tylko uwaga: do kraju naszego Jezuici rzekomo nie mają dostępu, mimo domniemanych usług, oddanych rządowi Katarzyny II w czasie pierwszego rozbioru Pol-

ski (o czem kroniki milczą). Ale duch jezuicki przesiąka z łatwością nietylko w nasze zespoły religijne ale nawet w niektóre ośrodki myśli świeckiej, o czem przekonać się łatwo, wziąwszy do rąk warszawskie pisma zachowawcze.

Znak zapytania.

Wszystkie dzienniki polskie obiegła bardzo zagadkowa i zwięzła notatka, dotycząca działań oo. Jezuitów na terytorjum polskim, a więc sporej dla nas wagi. Dziwić się tedy trzeba, że pisma polskie poprzestały na przedruku zagadkowej wersji, zaczerpniętej z *Russkich Wiedomosti* na temat interpelacji przedstawiciela Rosji na dworze papieskim, p. Bułacela, który przedłożył kardynałowi Merry del Val następujący szereg zapytań:

„Czy wiadomo jest Watykanowi o zakupieniu przez oo. Jezuitów za rb. 50 tysięcy klasztoru franciszkańskiego w Berdyczowie, w celu zorganizowania tam nowicjatu?

„Czy wiadomo jest Watykanowi o udziale w tym przedsięwzięciu katolickiego duchowieństwa djecezjalnego?

„Czy wiadomo jest Watykanowi, że potajemnym rewizorem klasztoru Jasnogórskiego mianowany był, bez wiedzy rządu rosyjskiego, Jezuita?

„Czy wiadomo jest Watykanowi, że duchowieństwu polsko-katolickiemu oprócz oficjalnie przez rząd przesłanego dekretu *Ne temere* była potajemnie przesłana specjalna tajna instrukcja, pouczająca, jak dekret ten wpowadzać w życie?

„Jaki jest stosunek Watykanu wogóle i papieskiego sekretarza stanu w szczególności do tajnych instrukcji, dawanych klerowi polsko-katolickiemu w Rosji przez pewne zamieszkałe w Rosji osoby duchowne, według wszelkich danych, należące do zakonu jezuickiego?"

Moskiewski organ Kadetów dodaje od siebie: „Interpelacja ta wywarła wielkie wrażenie". Istotnie, jest ona bardzo znacząca. P. Bułacel, podkreśla wyraźnie domniemany przezeń udział rządu papieskiego w „polskiej" jakowejś „intrydze", co jest niefortunnym bardzo anachronizmem, zgodnym zresztą z poglądami na sprawę polską *à la* Iłowajskij... Co do nas, którzy tu, na miejscu, nasze sprawy bezpośrednio przeżywamy, wątpliwości być nie może, że wszelkie „tajne instrukcje", o ile nie są mytem, bynajmniej nie sprawę polską mają na względzie, lecz odrębny interes Watykanu, tudzież korzyść kasty duchownej, ściśle zespolonej z ustrojem teokratycznym i wstecznym państwa rosyjskiego..

To też bardziej znamienną, niż interpelacja p. Bułacela, była odpowiedź generała oo. Jezuitów *padre* Wertz'a. Dygnitarz ten, wszechwładne na Stolicy Piotrowej sprawujący rządy, udzielił następujących wyjaśnień:

„Kilka lat temu asystent Rzeszy niemieckiej zakomunikował mu o „tolerancji" rządu rosyjskiego w kwestji dopuszczenia Jezuitów do Rosji. *Jezuici mieli oddać Rosji nieocenione usługi.* Szczególnie w czasie rewolucji rosyjskiej w roku 1905... Dlatego też kapituła generalna w r. 1909, przez wdzięczność dla Rosji za protegowanie zakonu św. Ignacego, postanowiła wydzielić Rosję jako samodzielną prowincję, niezależną od Krakowa. Projekt ten nie został dotąd urzeczywistniony, ponieważ przeszkodziły temu niewczesne rewelacje duchowieństwa polskiego, niezadowolonego z takiego obrotu rzeczy.

Obecność zaś Jezuitów w Rosji nie powinna niepokoić rządu, ponieważ celem ich jest *walka z marjawitami* i *dozór nad moralnością kleru polskiego*, która, jak widać ze sprawy Jasnogórskiej, pozostawia wiele do życzenia".

Tyle „czarny papież". Skąpe to i pełne tajemnic słowa.

Wynika z nich jedno; oto obecność Jezuitów na ziemi polskiej jest faktem; nie może odtąd ulegać wątpliwości, że pełnią oni funkcje *instancji wyższej* wobec *kleru polskiego* pod pozorem czuwania nad jego moralnością.

Rewelacje *padre* Weritz'a w zupełności potwierdzają nasze słowa, zwrócone do oświeconej opinji polskiej tytułem przestrogi w art.: *Czas nagli* (Nr. 45). Wobec tego — brzmiały końcowe nasze uwagi — że rygor rzymski oddaje wszystek kler pod władzę Czarnego Papieża t. j. generała oo. Jezuitów, — kładziemy stosowny nacisk na tę okoliczność, która nieuleczalnych nawet optymistów w dziedzinie stosunku Kościoła do Narodu skłonić musi do poważnych refleksji. Czas nagli".

P. Bułacel może być spokojny. OO. Jezuici ze sprawą polską nic a nic wspólnego nie mają; przeciwnie: obecność ich w Rosji powinna mu dodać otuchy, jak to podkreślił znacząco *padre* Wertz...

Ale opinja polska spokojną nie jest. Żąda ona wyjaśnień pełniejszych, niż te, które padły z ust Jezuity i pod którymi kreślimy teraz wielki znak zapytania...

Z powodu higjeny.

W tygodniu ubiegłym, w lokalu stow. nauczycielstwa polskiego odbyło się posiedzenie sekcji nauczania początkowego, na którym p. Rudnicka odczytała referat: „W sprawie higjeny i pomocy lekarskiej w szkołach początkowych.

P. R. ujawnia fakty smutne.

W średnich zakładach naukowych badanie dzieci przez lekarzy ogranicza się do oglądania rąk i chustek do nosa, w szkółkach początkowych zaś stan rzeczy jest wprost opłakany. Referat wywołał debaty, w końcu których wśród zebranych wyłoniła się myśl urządzenia w sekcji wykładów higjeny praktycznej dla nauczycieli.

A więc Stow. nauczycielstwa polskiego, sekcja nauczania początkowego zrobiły w danym razie prawie wszystko co od nich zależało. Inna rzecz czy to wszystko przyniesie wychowańcom szkół początkowych jakokolwiek bodajby korzyść. O tym wątpić wypadnie.

Po za oglądaniem rąk i chustek do nosa, po za rozciągnięciem nad liczną rzeszą uczniów i uczennic szkół początkowych uczciwego nadzoru lekarskiego, po za skrupulatnym badaniem ich stanu zdrowotnego, uprzedzaniem chorób, leczeniem dolegliwości, pozostaje jeszcze sam system szkolny, w wysokim stopniu niehigjeniczny. Owe lekcje w zamkniętych dusznych izbach, owe ciasne lokale, owe pozbawione wszelkiego nadzoru opychanie się podczas przemian serdelkami, bułkami i podejrzanej dobroci słodyczami, wreszcie życie domowe wśród rodziny, przeważnie niezamożnej, albo tak dbającej o higjenę, jak niestety smutnej sławy pod tym względem wszyscy niemal warszawiacy.

Sława ta jest w zupełności zasłużona.

Książka „Adresy Warszawy" wykazuje istnienie 40-tu „zakładów" kąpielowych w naszym mieście. Sześć z tych „zakładów" jest rytualnych (mykwy), cztery zaś znajdują się w rękach żydowskich Gdyby jednak uwzględnić wszystkie i przypuścić, że w każdym z nich znajduje się po 40 wanien, to pomieścić one mogą w najlepszym razie 16.000 kąpiących się dziennie. W osiem tygodni wykąpałaby się cała Warszawa. Każdy warszewiak mógłby być względnie czysty co dwa miesiące. Ale to tylko w najlepszym razie, gdyby wszystkie „zakłady" kąpielowe były codziennie pełne.

Kiedy jednakże jest inaczej...

Wchodzę do jednej z takich „Rusałek".

Bilecik — 50 kop., mydełko — 20. Wanna nieco podejrzanej czystości kąpielowy szoruje ją w pocie czo-

ła — dostać też coś musi ponad taksę. Wykąpałem się, policzyłem; — kosztowało rubelka.

— Proszę pana — pytam właściela — dlaczego to u nas tak drogo?.. W Monachjum, proszę pana, we wspaniale urządzonym „Volksbadzie" kąpałem się za 20 fenigów?...

Właściciel „Rusałki" macha ręką rezygnacyjnie.

— Bo, proszę pana, przeciętny Monachijczyk.., Ma rację, zupełną rację.

A przeciętny Warszawiak uśmiecha się filuternie.

—I!... kiedy ja mam w domu wannę i gdybym tylko chciał!...

Tak, gdybym chciał!

Ktoś, komu był potrzebny lokal, chodził po domach i oglądał mieszkania.

— To podobno z kąpielą?...

— A tak, z kąpielą...

Grzeczna gosposia pokazuje ciemny pokoik chętnie.

— O tu, proszę pana.

Ktoś wścibia ciekawie głowę.

Wanna nie wanna, coś z tego rodzaju a na niej deska do prasowania a w niej garnuszki, kompotjerki słoiki, kasza, mąka, masło, konfitury; cała szpiżarnia.

— I to pani tu?.., Przecież to ambaras wyjmować... — pyta ktoś zdumiony.

Gosposia uśmiecha się, ukazując rzędy ostrych perełek.

— O, proszę pana, przecież i tak i tak na wielkanoc i boże narodzenie robimy jeneralny porządek!...

Tak, tak, to wcale nie anegdotka, to prawda. I sprawdzić ją może każdy kto tylko chce!

Czyż więc tedy uczniom i uczennicom kąpanym na boże narodzenie i koło wielkiej nocy pomoże jaka higjena szkolna?...

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Sprawa żulińska* posiada już wcale pokaźną literaturą i bibliografię i napewno nieprędko ukoją się rozkołysane dokoła niej namiętności, ile że niebrak chętnych i niesumiennych podżegaczy, zarówno nad Sanem, jak i nad Newą.

Z chwilą zdemaskowania różnych fałszów przez wyniki urzędowego śledztwa, o czem wspominamy w naszym artykule wstępnym, nastąpił pewien zwrot na lepsze, przyczem zauważyó należy, że część prasy ukraińskiej, ochłonąwszy z pierwszego afektu napadła ostro na „kacapów" w rodzaju hr. Bobryńskiego, którzy usiłują zareprezentować ofiarę wypadku, zmarłego Kochańczuka, jako „istinno-rosyjskie" dziecko... Działacze zaś nowowremieńscy typu osławionego Filewicza nazbyt przeholowali w potwarczych fałszach, i spora część opinii rosyjskiej—zwłaszcza tej, na której nam jedynie zależy—nie daje im posłuchu. Nadto prof. Filewicz należy, jak powiada *Kurjer Poranny*, do tego gatunku duchów, o których mówi Goethe, że zawsze chcą płodzić zło, a mimowoli tworzą dobro.

> Miejmy nadzieję. że jego ohydne hałasy i szczucia dojdą przecież tam, gdzie zatykano sobie uszy na trzeźwe głosy polskie i na narzekania rusińskie. Im nikczemniejsze, im bardziej oszczercze są te hałasy, tym głośniej, tym szlachetniej powinny wśród opinji polskiej zawsze rozbrzmiewać hasła bezwzględnego humanitaryzmu i ożywionej miłością sprawiedliwości w stosunku do narodu, z którym sojusz jest warunkiem rozwoju naszej przyszłości. Sojusz ten jeszcze mniej się będzie zapewne podobał p. Filewiczowi, niż dzisiejsza nienawiść. Ale wtedy odpowiemy mu: — sam tego chciałeś, Dandenie; źle spełniałeś swoją służbę, zwróć żołd, który ci płacono!

Dotychczas, niestety, na porozumienie polsko—rusińskie bynajmniej się nie zanosi, do czego gorliwie przyczynia się ze swej strony nacjonalistyczna prasa polska. Oto nap. *Gazeta Warszawska*, wierna metodzie „silnej pięści" z właściwą sobie przytomnością umysłu donosi już o „katowaniu dzieci polskich przez Rusinów".

> Z Tarnopola dochodzi wiadomość, że do sądu tamtejszego przywieziono 31 października Michała Dusanowskiego, 12-letniego chłopaka z Denysowa. Ucznia tego pobił 23 paźdz. nauczyciel szkoły w Denysowie, Andrzej Wróblewski, ukrainiec, zadając mu linją ranę tłuczoną, szeroką na centymetr. Rzecz tę stwierdzono sądownie. Ojciec ucznia oddał sprawę sądowi.
>
> Przykładów takich można zacytować znacznie więcej.

Smutną, nad wyraz smutną i bolesną jest sprawa żulińska. Te harce polemiczne dokoła trumny dziecka budzą straszny niesmak i obrzydzenie. Z trupa zrobiono rodzaj maczugi, którą nacjonaliści różnych obozów wydzierają sobie z kolei, jako cenny argument. Zamiast podnosić, ratować, rozwijać — polityka nas upadla. Dotąd zdziczenie było nie po naszej stronie; dzięki rządom uczniów i przyjaciół p. Dmowskiego stanie się ono może obustronnym, co sprawy polskiej ani na krok nie posunie; *przeciwnie*. Korespondent *Kurjera Warszawskiego* pisze z Galicji, że *Rusini nic a nic nie zmienili się od czasów Chmielnickiego*. A czy Polacy zmienili się bardzo? Zapomniał współpracownik *Kurjera* o tem, że to właśnie bunt Chmielnickiego zadał Rzeczypospolitej jeden z tych ciosów śmiertelnych, po których Ona już się nie podniosła...

Zapewne, Rusini są bardzo „niekulturalni", ale to nas nie powinno upoważniać do lekceważenia ich żądań, ani — szkód, jakie nam ta ustawiczna waśń wyrządza. Opinja polska, a zwłaszcza ta „demokratyczno" - narodowa, winna wyzbyć się resztek szlacheckich nałogów i uprzedzeń względem „chamów" i „hajdamaków". Sprawę rusińską trzeba traktować bardzo poważnie, bardzo sumiennie, z całym poczuciem odpowiedzialności nie tylko za społeczeństwo polskie w Galicji, ale i za tych Polaków, na których buta i wyniosłość Podolskiej szlachty odbić się może dotkliwie.

Z całą stanowczością twierdzić m żemy, że zgoda polsko-rusińska dała by nam w ręce atut olbrzymi wobec nacjonalizmu rosyjskiego, który wszak święci istne orgje z powodu rzekomej „Wrześni galicyjskiej". Położenie Rusinów w Galicji i położenie Polaków w Rosji nasuwa bardzo ważkie paralele, z których skorzystał już teraz poseł Żukowski, wołając z trybuny dumskiej:

> Dajcie nam dla szkoły polskiej w Królestwie Polskim te same prawa, jakie ma szkoła rosyjska w Galicji i my będziemy pod tym względem zadowoleni.
>
> Bynajmniej, nie chcę przekonywać, że Rusinom w Galicji świetnie się powodzi. Ale, panowie, wszystko na świecie jest względne i ja twierdzę tylko, że Rusinom w Galicji lepiej się powodzi, aniżeli nam w Królestwie Polskim.

Ze swej strony *Dziennik Petersburski* poczynił następujące zestawienia, kierując je w formie listu otwartego do hr. Bobryńskiego i całej jego kompanji:

> W Galicji mieszka 3 miljony Ukraińców. Posiadają oni przeszło 2 tysiące szkół ludowych z wykładowym językiem ukraińskim, 5 gimnazjów i 10 katedr uniwersyteckich.
>
> W Rosji liczymy 27 miljonów Ukraińców, t. j. 9 razy więcej niż w Galicji. Jeżeli zatym chcecie bronić Ukraińców w Galicji, to przedewszystkim: 1) wprowadźcie do 18,000 szkół ludowych na Ukrainie język ukraiński; 2) założcie 45 gimnazjów ukraińskich; 3) na uniwersytecie kijowskim, w Jekaterynosławskim instytucie górniczym, politechnice kijowskiej, charkowskiej i nowoczerkaskiej i w seminarjach duchownych utwórzcie po 10 katedr ukraińskich i po 4) nie zamykajcie „Proświt" na Ukrainie. Niech choć jedna z nich założy — wzorem lwowskiej „Proświty" —

2,286 czytelni o 89,950 członkach, 262 kółka dramatyczne 254 chóry i 466 sklepów współdzielczych. Zróbcie to, panowie, bo znajdzie się jakiś „endek galicyjski“, który w imieniu Polaków zażąda od społeczeństwa rosyjskiego zadośćuczynienia za „ucisk“ bratniego narodu ukraińskiego, który w Galicji ma swoje szkoły, gimnazja, instytucje oświatowe i czyni zdumiewające postępy w rozwoju kulturalno-narodowym“...

Tak jest! Te liczby porównawcze mają potężną siłę wymowy. Ale zarazem *obowiązują nas* one do tego, byśmy, mając nasz interes narodowy na względzie stale i niezłomnie dążyli do norm demokratycznych i wolnościowych we współżyciu ze słabszemi i bardziej od nas upośledzonymi narodami.

* Ostatni, listopadowy zeszyt *Kultury polskiej*, miesięcznika wychodzącego pod redakcją Al. Świętochowskiego, przynosi cenne uwagi, wypowiedziane pod adresem „światłych kół“ naszego społeczeństwa z powodu małodusznego ich zachowania się wobec katastrofy Jasno-górskiej.

Zbrodnie częstochowskie nietylko odsłoniły krwawobłotną otchłań w klasztorze jasnogórskim, ale także stary muł w duszach naszej inteligencji. Prosty lud, któremu niecnie znieważono przedmiot jego czci i cel jego pielgrzymek religijnych, przyjął bolesną wiadomość ze szczerym smutkiem, który był w nim uczuciem naturalnym i zrozumiałym. Ale jakże mizernie odpowiedziała na nią „światła“ inteligencja, ta, która codzień w cukierniach i kawiarniach stawia przed sobą cały świat i karci go za wstecznictwo! Nie mogła ona podnieść się nawet do tego tonu zgrozy, do którego podniósł się niejeden rozumniejszy i uczciwszy ksiądz, wołając: „To tak, jakby ktoś kopnął i plunął w twarz rozmodlonego 20 milionowego narodu“. („Przegl. kat.“) Europejczycy nad Wisłą, wyznawcy „ostatnich wyrazów nauki“ i „najnowszych systematów filozofji“, prenumeratorzy najradykalniejszych gazet francuskich, handlarze myśli, którzy karmią się w domu ateizmem, a sprzedają na targu lub w sklepie fałszowaną pobożność — ci zachowali się jak jubilerzy, oceniający wartość i stratę skradzionych z obrazu klejnotów, jak przedsiębiorcy pielgrzymek, przerażeni możliwością zmniejszenia się „kompanji“, jak kustosze pamiątek historycznych, zmartwieni zdeprecjonowaniem się najcenniejszej, jak dyrektorowie teatru polsko-oberamergauskiego, przewidujący upadek świętych widowisk, a nie jak uspołecznieni obywatele kraju, nie jak rozumni obrońcy zdrowia moralnego, a nadewszystko nie jak przyjaciele ludu. Ci psalmiści rozdzierali szaty, wyrywali sobie włosy i wylewali łzy nad „profanacją świętego miejsca“, nad „zbeszczeszczeniem serca narodu“, nad splamieniem szat zakonnych, ale nie nad krzywdą wielomiljonowej masy ludowej, którą bezwstydni oszuści idyotyzowali dewocją i łupili ofiarami, ażeby za pieniądze wyciśnięte z łatwowiernych nędzarzów hulać, nurzać się w zbytku i rozpuście. Niedość tego, wyrażono nawet głośno obawę ażeby oszukany i oślepiony tłum nie przejrzał, — jak powiedziano ostrożniej — ażeby „zbrodnie Paulinów nie oddziałały na uczucia religijne ludu“. Zdaje się jednak, że zapobiegawcze usiłowania w tym kierunku zawiodą. Nie pomógł puszczony w obieg argument, że „nawet śród apostołów znalazł się Judasz“, bo tych Judaszów znalazło się w Częstochowie tylu, że wkrótce dosięgną liczby apostołów. Czterech już siedzi w więzieniu, piąty coraz bliżej ku niemu się przysuwa, a przytym ciągle wyłażą na wierzch długo tłumione tajemnice innych szanownych ojców, które już krążą w prywatnych opowieściach i dlatego jedynie nie są wyłowione siecią śledztwa karnego, że ją zapuszczono tylko na grube ryby.

* Ostrze krytyki wolnomyślnej, godząc we wszystkie uświęcone rutyną przesądy, nie mogło z natury rzeczy pominąć takich specyficznych zjawisk naszego życia, jak *przywilej nietykalności*, którym lubią osłaniać się skrajne nasze zespoły. Dwa rodzaje *tabu* panowały dotąd nad umysłami: autorytej księżej sutanny na prawicy i tytuł „uświadomionego klasowo“ robotnika na biegunie przeciwnym. Promieniowanie kleru doznało w ostatnich czasach pewnego zaćmienia, którego powody wszystkim są wiadome. Niemniej mnożą się poglądy krytyczne na wartość materjału, z którego skrajna lewica ulepić pragnie ustrój doskonały, usunąwszy uprzednio wszelkie mieszczańskie domieszki. I trzeba zauważyć, że materjał, o którym mowa, nietyle sam przez się zasługuje dziś na surowszą niż wczoraj ocenę, bo został takim, jakim był — ile rozwiała się gromadzona wokół niego usilnie przez apologetów przesadnych i bezmyślnych atmosfera cnót nadludzkich i zalet nadprzyrodzonych... Okazało się, że zarówno ksiądz, jak i robotnik — ludźmi są tylko, o ludzkich namiętnościach, słabostkach i przywarach, ludźmi, podległymi wpływom środowiska i czasu. Stawianie robotników na niedosięgnej wyżynie ponad resztą Narodu równie jest niedorzecznym i szkodliwym jak przypisywanie cnót heroicznych kapłanom świeckim i zakonnym.

Krytyczny nasz głos w tej sprawie brzmiał dotąd odosobniony, gniewne budząc echa na skrajnej lewicy. W ostatnich jednak czasach i tam począł się dokonywać zwrot pożądany, jak o tym świadczy poniższa próba samooceny krytycznej, zaczerpnięta ze szpalt jednego z frakcyjnych organów P. P. S.

Rola, do jakiej wołamy lud roboczy — rola ogromna dziejowa — nie wszystkim się jasno przedstawia. Ciemniejsza większość chce tylko dobrobytu; o doskonałości swojej, o jakiejś Polsce — mniej wie, mniej myśli i myśleć chce. Gruby smak zysku i posiadania, pożądanie mienia — zabija inne uczucia. Duża chęć korzyści, mierzenie wszystkiego łokciem własnego użytku cielesnego, rozpusta, pijaństwo, swary, sobkostwo — oto przekleństwo duszy odwiecznego niewolnika! I my mamy odrodzić go w sobie i poprowadzić po Życie nowe!...

Robotnik warszawski powinien się stać wzorem towarzysza. Dotychczas, ściśle biorąc, nim nie jest.

Towarzysz warszawski, bardziej wygładzony i obyty, suciej odziany — ma tę ujemną stronę, że najczęściej jest światowcem, rzekomo obeznanym z wszelką sztuką. Gdy zaś przychodzi co do czego — to ani w prawo, ani w lewo. Ma przesadzoną a tanią zarozumiałość, nie uwzględnia obcego zdania, lubi się nawet gniewać i obrażać i nie spełniać obowiązków organizacyjnych. Nagiej prawdy nie znosi, jeżeli ta ujawnia jakąkolwiek złą jego cechę. Jest albo za gorący, albo za leniwy, a uparty.

I jeżeli przyjrzymy się sobie — zobaczymy z jednej strony bezczyn i martwotę, z drugiej — zapał i ofiarność bez granic. Tak u nas jest wszędzie: czy śród kształconych czy nieuczonych całkiem. Brakuje tego pośredniego spoidła, miarkującego pochop, a pobudzającego do czuwania

Byłoby bardzo pożądanym, gdyby skrajna lewica weszła na drogę trzeźwej samooceny, zamiast bałamucić opinję publiczną i ogół robotników huczną i samochwalczą frazeologją.

* P. Jerzy Kurnatowski kreśli w *Izraelicie* (Nr. 50) następujący obrazek „ze wspomnień paryskich“ niepozbawiony swoistego wdzięku.

Jakiś filantrop z Nalewek założył cheder, prawdziwy warszawski cheder, na bruku paryskim, aby dać możność dzieciom wychodźców żydowskich kształcić się na obczyźnie w naukach talmudycznych i aby je uchronić od zgubnych wpływów nauki świeckiej i inowierczego otoczenia. Pewien czas kwitła w „świetlnym grodzie“ (ville lumière) ta „wysoce kulturalna instytucja oświatowa“ i sława jej zaczęła rozbrzmiewać szeroko, tak szeroko, że aż dowiedział się o niej poseł socjalistyczny Rouanet, specjalista od wnoszenia interpelacji w obronie rozmaitych Murzynów, Howasów i Anamitów, zbyt gwałtownie cywilizowanych przez urzędników francuskich. Rouanet obejrzał cheder, podręczniki szkolne, mełameda i nazajutrz zgłosił w Izbie interpelację tej mniej więcej treści: jest w Paryżu szkoła, brudna i przeludniona dziećmi, w której nauka trwa niepomierną ilość godzin dziennie. W szkole tej uczą na pamięć jakichś nauk religijnych, w jakimś zgoła niezrozumiałym wschodnim ję-

zyku. Dziatwa, pobierająca nauki w tej dziwnej szkole, nie umie po francusku i jest w wieku szkolnym.

Nasz deputowany zastanawia się w dalszym ciągu swej interpelacji nad przyszłością tych dzieci. Jak sobie dadzą radę we Francji, nie umiejąc po francusku? Do czego będą zdolni, jeżeli, zamiast uczyć się rzeczy, rozwijających umysł i przydatnych w życiu, studjują w tak młodym wieku wyłącznie jedną ze wschodnich religji? Niewątpliwie — religje wschodu są przedmiotem nader ciekawym, lecz należy do nich przystępować w starszym wieku, z odpowiednim przygotowaniem, w uniwersytecie, na wydziale religijnym Sorbony, a nie w szkole elementarnej. Zresztą te dzieci są w wieku szkolnym, a we Francji istnieje przecież przymus szkolny, wielkie demokratyczne prawo bezpłatnego, obowiązkowego, powszechnego i świeckiego nauczania. Czemuż te dzieci nie uczą się tam, w szkole państwowcj, z dziećmi francuskimi? *Conclusion:* dziwną uczelnię religji wschodnich dla dzieci — zamknąć, a dzieci porozmieszczać w ogólnych szkołach początkowych.

Życzeniu temu stało się zadość W ten sposób zgasł, po krótkotrwałym istnieniu, pierwszy i ostatni cheder warszawski, przeniesiony na zupełnie jałowy dla tego rodzaju roślin grunt nadsekwański...

* Błyskotliwe, jakrawe i śmiałe odbicie znajduje chwila obecna w satyrycznym zwierciadle każdego n-ru *Szczutka.* Ciętym żartem, humorem i kulturalnością dowcipu organ ten wysunął się w krótkim czasie na czoło prasy humorystycznej. Ostatni zeszyt stawia całą falangę uroczystych przedstawicieli społecznej głupoty, zarozumiałości i perwersji przed bezlitosnym trybunałem okrutnego sędzi — Śmiechu. Jak pociesznie kurczy się pod jego wyrokami „Biuro pracy Społecznej!" Jak sromotnie wygląda endecko-realistyczna fizjognomja Ugody!

POD ŚWIATŁO.

Koniec Epopei.

Ha! Iljon gore! Endecja się wali!
Azaż kto widział ogrom takiej klęski?
Dawno-ż to było, gdyśmy gębowali
Na całą Polskę? gdy nasz ryk zwycięzki
Grzmiał jurnych zdrowiem byków? Hej! azali
Dawne-ż to czasy, gdy jeden głos męzki
Wskazywał rzeszom zbawienie, lub zgubę:
Rzekł Dmowski:—basta! Reszta:—milcz, Szpitzbube!

Dziś gmachy nasze w ogniu! Dziś nas lud przepędza!
Myśmy tak strzegli jego wierzeń świętych,
Myśmy czuwali, aby jego nędza
Głodna uroku widzeń wniebowziętych,
Konając, miała kropidło — i księdza...
Na barkach ludu wyrośliśmy zgiętych,—
I nas-to partją zwą anti-ludową?
A toż to czysta potwarz — daję słowo!

Myśmy marzyli Polskę — piękną, wzniosłą:
W koronie niebios — świeci Jasna-Góra;
Kmiotkowi, patrząc, serce by urosło,
Gdy obok niego, ot — takiego gbura—
Klęka pan, szlachcic, herbu Złote-Wiosło!...
Nagle się wszystko rozwiało jak chmura:
Noc czarna. Pustka. Przepadły nadzieje...
Grecjo! rozumiem dziś TWĄ CHERONEJĘ.

Aner.

KRONIKA.

„GAZETA KUJAWSKA", organ postępwy i demokratyczny, zwracający na siebie uwagę żywotnością i doborem treści, idąc za biegiem coraz szerszych potrzeb żyeia kulturalnego, z d. 14 b. m. staje się pismem codziennym. Aczkolwiek podwoi to sumę kosztów wydawniczych, cena premumeraeyjna nie została podwyższona.

KS. PIOTR WAWRZYNIAK. Społeczeństwo polskie w Poznańskiem poniosło wielką stratę. D. 11 b. m. zmarł nagle ks. Piotr Wawrzyniak, b. poseł do pruskiej izby deputowanych, znany przedewszystkim ze swej niestrudzonej działalności na polu ekonomicznym. Urodzony w 1849 z rodziny włościańskiej w Wyrzece pow. Kościańskiego, Piotr Wawrzyniak kształcił się w Sremie, Gnieździe i Poznaniu, wreszcie — w Monasterze, poczem został misjonarzem w Sremie. W r. 1874 powołano go na posła. Największą zasługą Wawrzyniaka jest praca nad ekonomicznym odrodzeniem ludności polskiej w Poznańskim. Zachęcając i pomagając niestrudzenie do zakładania spółek spożywczych, pokrył ich siecią całe Poznańskie, skłaniając tym samym ludność do oszczędzania i gromadzenia oszczędności. Stanąwszy zaś na czele utworzono przez siebie Związku spółek zarobkowych, w W. Ks. Poznańskim, tak w ciągu lat 30 swego patronowania pokierował sprawami tej instytucji, że jest ona obecnie w Poznyniu potęgą finansową.

Bibljoteka Jagielońska, pragnąc uzupełnić w swych zbiorach braki w zakresie czasopism polskich zwraca się za naszem pośrednictwem do ogółu dawnych abonentów naszego organu z prośbą, aby na rzecz macierzy bibljotek polskich raczyli ofiarować bezpłatnie lub pod korzystnymi warunkami roczniki *Prawdy* z lat następujących:

I 1881, i od XIX 1899 do XXIX 1909 t. j. ogółem 12 całych roczników.

Prócz tego **Bibljoteka** poszukuje w roczniku XI 1891 Nr. 9, a w roczniku XII 1892 Nr. Nr. 5, 6 i 8.

Książki nadesłane do Redakcji:

Stanisław Przybyszewski. Gody życia. Dramat współczesny w czterech aktach. Z przedmową autora p. n. „Pro domo". Warszawa, 1911. Nakładem „Kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich". Składy główne: Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Stron 172. Cena rb. 1 kop. 50.

Juljan Zachariewicz. Niemiecki związek monistów i Ernest Haeckel. Odbitka z „Przeglądu Polskiego", Kraków, 1908. Nakładem autora. Stron 35.

Jadwiga Marcinowska Twórca. Warszawa, 1911. Skład główny Gebethner i Wolff, Warszawa. G. Gebethner i S-ka. Kraków. Stron 222. Cena rb. 1 kop. 50.

Józef Dzierzkowski. Król dziadów. Powieść obyczajowa w dwóch tomach. Tom drugi z 5 ilustracjami. Miesięcznika „Ciekawe Powieści" Nr. 10. Redaktor Artur Oppman. Warszawa, październik 1910. Nakł. Gebetnera i Wolffa, Kraków, G Gebethner i S ka. Str. 182 Bezpłatny dodatek do Nr. 42-go „Tygodnika Ilustrowanego".

Katalog dzieł nakładowych i komisowych księgarni Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin. 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka. Str. 275 + 10.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.